

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 28 LIPCA 1928 ROKU

NR 31

TREŚĆ NUMERU: Prawa matki w ustawodawstwie społecznym—*Natalja Jastrzębska*. Złot harcerek w Rybieniu—*Jadwiga Prażmowska*. Kultura ciała — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Targ” — *Lucyna Krzemieniecka-Wolicowa*. Zwyczajne dzieje — *Karol Poraj-Koźmiński*. Willa pod miastem (c. d.) — *M. Morozowicz-Szczepkowska*. Ogrody i parki—*Zygmunt Knothé*. Z dziejów robotnicy trancuskiej—*Stefanja Podhorska-Okołów*. Dusza kobiety (c. d.)—*Gina Lombroso*. Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* Jak się zestarzeć — *N. J.* Wykształcenie zawodowe kobiet — *Zofja Miszewska*. Pragnienie—*J. S.* Uprawa endywy—*Stan. Schönfeld*. Dziesięciolecie Państwowego Seminarjum Nauczycielek Gospodarstwa—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Transformacje—*Well*. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” — *M. Beniśławska*. Arkusz wzorów.

## PRAWA MATKI W USTAWODAWSTWIE SPOŁECZNYM

*Specjalny wywiad dla „Bluszcza” z p. wicemarszałkiem St. Poznerem*

W przepięknym, głęboko filozoficznie przemyślanym dziele swym „Świat Kobiety” mówi autorka, Grosseck-Korycka, że kobieta w swym zapale stania się równouprawnionym człowiekiem wzięła na siebie zadanie olbrzyma: połączenia pracy zawodowej z obowiązkami macierzyństwa. Rodząc i wychowując dzieci, oprząając dom, jednocześnie zarzuciła sobie na plecy „worek Dydelfa” w postaci biura, szkoły, fabryki itp. Ciężar ten, doprawdy zbyt wielki, targał jej siły doszczętnie, lub odbijał się na zdrowiu i życiu jej dzieci, albo—jedno i drugie.

To też nowoczesne prawodawstwo socjalne stawia na czele swych zadań ochronę matki, zapewnienie jej prawa odpoczynku i pomocy w wypełnianiu obowiązków macierzyńskich, bez narażenia się na utratę pracy. Sprawa niezmiernie ważna dla tych, najliczniejszych może, rzesz kobiecych, które pracują nityle z zamiłowania i dla idei równouprawnienia, ile pod przymusem twardej konieczności; dla których ów „worek Dydelfa” jest najokrutniejszym ciężarem. Kobieta zamożna, a przynajmniej względnie lepiej uposażona materialnie, może z dochodów swej pracy zapewnić swym dzieciom dobrą wychowawczynię, a sama przerwać zajęcie, gdy jest chora, lub zbyt przemęczona. Ale co zrobi w takim wypadku robotnica fabryczna, mała urzędniczka, sklepowa, krawcowa i te wszystkie, których imię jest legion, a zarobek dzienny zaledwie wystarcza na opędzenie codziennych potrzeb? Przez długie lata kobiety w tem położeniu

musiały albo wyrzec się macierzyństwa, albo było ono dla nich przejściem, wytrącającem zupełnie z drogi pracy zarobkowej.

Szczęśliwe kobiety, zabezpieczone materialnie, ileż razy narzekają na zbyt skromne warunki życia, a naprawdę pojęcia nie mają, ile tragedij przechodzi uboga matka-pracownica w chwili przyjścia na świat dziecka i w czasie jego niemowlęstwa, nie mogąc zapewnić mu opieki i zaspokoić elementarnych jego potrzeb!

To też sprawa ochrony macierzyństwa była, co należy zapisać na chlubną kartę ludzkości, jednym z najwcześniejszych praw, przyznanych kobiecie. Weszła ona do prawodawstw państw cywilizowanych jeszcze przed wojną w imię zasady, że praca zawodowa kobiet polegać musi nie na równouprawnieniu z mężczyzną, ale na zapewnieniu, w imię racjonalnego rozwoju społeczeństwa, jego zdrowia i przyszłości, pracującej kobiecie-matce szerszych przywilejów.

Po wojnie, z chwilą ukonstytuowania się Międzynarodowej Konfederacji Pracy (o której pracach pisaliśmy niedawno w „Bluszczu”. *Przyp. Red.*), ochrona macierzyństwa dąży do stworzenia dla matki pracującej maximum warunków, zabezpieczających zdrowie oraz życie jej i dzieci — przyszłości narodu.

Pragnąc zaznajomić czytelniczki „Bluszcza”, jak ta najważniejsza sprawa socjalna traktowana jest w nowym ustawodawstwie naszej odrodzonej ojczyzny, zwróciłam się do jednego z najlepszych znawców,



długoletniego jeszcze z czasów rosyjskich, bojownika obrony społecznej, obecnie wicemarszałka senatu, p. Stanisława Poznera, który uprzejmie udzielił mi wywiadu.

P. wicemarszałek uważa również, że najbardziej palącą sprawą jest szczególna opieka prawodawcy nad położnicą i matką ubogą.

— Klasy posiadające — mówi p. Pozner — są zawsze w stanie zapewnić kobiecie-matce dobre warunki: lekarza, aptekę, spokój. Inaczej jest w rodzinie robotniczej. Tu kobieta pracuje narówni z mężczyzną. Stan ciąży i zbliżający się połóg wymagają odpoczynku, lepszego odżywiania, zarobki zaś zmniejszają się. Gdy matka wstanie już z choroby, skąd ma wziąć siły, aby jednocześnie opiekować się dzieckiem i sobą i wrócić do pracy? A tymczasem kobiet tych jest coraz więcej; coraz liczniej pracują kobiety w fabrykach i na roli. Statystyka ujawnia nam ciekawe cyfry, charakteryzujące podłoże socjalne prawodawstwa, dotyczącego opieki macierzyństwa. W Niemczech, np., urodziło się w r. 1914 1.800.000 dzieci; w r. 1917 już tylko 940.000! W tym samym roku śmiertelność niemowląt wyniosła 17 procent! I to w kraju, gdzie przyrost ludności jest zawsze znaczny! Statystyka innych krajów daje podobne lub gorsze znacznie wyniki. Dowodzi to, jak konieczną jest interwencja prawodawcy, którego obowiązkiem jest ratować kobietę i dziecko. To też wszędzie w Europie i w Ameryce powstało specjalne prawodawstwo, ochronie macierzyństwa poświęcone, a Konferencja Pracy w Wa-

szingtonie w r. 1919 nadała tej ochronie charakter Konwencji międzynarodowej. Zabezpieczenie matki-pracownicy wyraża się w zapomogach pieniężnych, w zwolnieniu od pracy na kilka (ilość jest względna i zależna od różnych warunków) tygodni przed położeniem i 4 — 6 tygodni po położeniu.

— A jak jest, panie marszałku, traktowana ta sprawa w ustawodawstwie polskim?

— Ochrona macierzyństwa jest u nas, tak samo jak we wszystkich państwach kulturalnych, przedmiotem szczególnej opieki ze strony prawodawcy. Posiadamy specjalną ustawę z lipca 1924 r., wzorowaną na ustawach innych krajów, bardziej przemysłowych. Ustawa nasza myśli nie tylko o matce, ale i o dziecku, zobowiązując fabrykantów do utrzymywania żłobków dla niemowląt. W żłobkach takich matki mogą karmić same swe dzieci, pracując jednocześnie w fabryce. Karmią dwa razy dziennie po pół godziny, czasu tego zaś nie wolno potrącać z zarobków.

Instytucja żłobków, dotychczas tylko dobroczynna, obecnie wprowadzona do ustawodawstwa, istnieje, jako taka, niedawno; rozwija się jednak i spełnia swe zadanie w walce ze śmiertelnością dzieci ubogich pracownic, otoczona wielką sympatją społeczeństwa. Z biegiem czasu sieć żłobków pokryje całe państwo.

Na zakończenie p. wicemarszałek udzielił mi jeszcze kilku cennych wskazówek o działalności w zakresie opieki nad macierzyństwem polskich inspektorek pracy. Będzie ona tematem oddzielnego artykułu.

Natalja Jastrzębska.

JADWIGA PRAŻMOWSKA

## ZLOT HARCEREK W RYBIENKU

(Korespondencja własna „Bluszczu“)

Nic tak dokładnie nie daje odczuć przebytej drogi, jak spojrzenie wstecz. Idąc, nie myślimy nieraz o przebytej odległości; gdy jednak w jakimś punkcie staniemy i obejrzymy się poza siebie—ledwo widoczny w oddali punkt wyjścia naszej drogi wskazuje nam wyraźnie, jak daleko już jesteśmy. Uczucie to ogarnia mnie zawsze, gdy zbieg okoliczności pozwoli mi na chwilę zajrzeć zbliska w życie harcerskie, z którym stały kontakt utraciłam już od lat dziecięciu.

Nic też dziwnego, że to wyraźne odczucie przebytej drogi ogarnęło mnie szczególnie silnie, gdy znalazłam się na zlocie harcerek w Rybieniu, pod Wyszkowem. Zlot, bowiem, jako przegląd sił, to zawsze wyraźny etap przebytej drogi—punkt, z którego wygodnie można spojrzeć wstecz. Ze takie zbilan-

sowanie nabytych doświadczeń nęci każdego, kto od początku przeżywał, lub obserwował harcerstwo—za dowód może służyć przemówienie drużyny Falkowskiej, komendantki Zlotu—do Pana Prezydenta, który w dn. 15 lipca w towarzystwie rodziny, premiera Bartla, ministra W. R. i O. P. dr. Świtalskiego i gen. Wróblewskiego—przybył do obozu.

„Przed laty siedemnastu“—brzmi pierwszy ustęp przemówienia, wydrukowanego w Nr. 9 pisma złotowego, —„jakże dalekiem było harcerstwo od tego, co teraz w obozie naszym widzą Drodzy Goście! Mundury nasze prawie wszędzie kryłyśmy pod cywilnem ubraniem, chorągiewki rozwijałyśmy jedynie w głębokim lesie, a słowa porozumienia bratniego, lub rozkazy, przesyłałyśmy tajnym szyfrem pisane.“



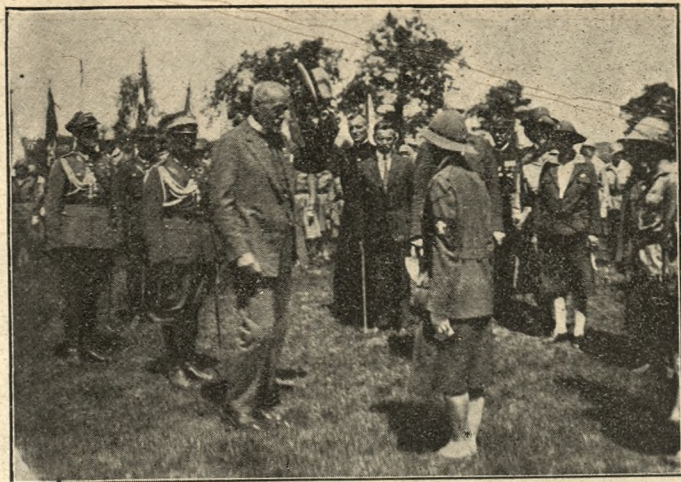
Zaiste, od tych czasów, gdy harcerstwo, przesławane przez zaborców i pracujące wskutek tego konspiracyjnie, musiało jednocześnie wywalczać sobie prawo obywatelstwa wobec społeczeństwa (co szło, trzeba przyznać, ciężko i opornie), do dzisiejszych czasów, gdy zloty i zjazdy odbywają się pod protektoratem najwyższych władz państwowych, a Koła Przyjaciół Harcerstwa gromadzą szereg wybitnych i zasłużonych jednostek—postęp jest olbrzymi.

Taka sama też odległość dzieli poczynania techniczne harcerskie owych czasów, gdy rozbicie jednego namiotu (który się zresztą coprędzej zwijało, aby kto nie zobaczył) wydawało się szczytem umiejętności obozownictwa — od dzisiejszego zlotowego obozu z własną pocztą, sklepami, biurem, telefonem obozowym i t. d. I taki sam krok naprzód od typu przeciętnej uczennicy z przed lat 17-tu, do dzisiejszej drużyny-harcerki. To bodaj że największa zdobycz harcerstwa żeńskiego, że stworzyło swój typ dziewczyny, której charakterystycznymi cechami są: zaradność i pogoda.

Kto uważa, że przesadzam, niech spróbuje sobie wyobrazić 930 dziewcząt z przed 17 lat z różnych szkół i okolic pod opieką najzacniejszych ówczesnych wychowawczyń, i trzydzieści kilka angielek, nie mówiących po polsku, wszystko to zgromadzone na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych lasu i pozostawione własnym zdolnościom organizacyjnym. Myślę, że jeśli w takim obozie znalazłaby się jakaś po-



Drużyna angielska ze sztandarem



Komendantka Falkowska zdaje raport p. Prezydentowi

goda ducha, to chyba tylko ta, na jaką zdobywają się męczennicy w obliczu nieuniknionej śmierci.

Typ harcerki nie zjawiał się odrazu na skinienie różdżki czanoksięskiej: wykluwał się z trudnością, od samego początku napotykając przeszkody od zewnątrz—ze strony społeczeństwa i od wewnątrz—ze strony samych dziewcząt. Społeczeństwo ze strachem, niedowierzaniem, a nieraz—szyderstwem, spoglądało na ćwiczenia obozowe dla dziewcząt. Widziano w tem tylko niebezpieczeństwo upodobniania się do chłopców i zatracenia cech kobiecych, a nie cńciano spojrzeć głębiej i ocenić, jaki wpływ na charakter ma to cudowne, nieporównane z niczem poczucie, że oto dam sobie radę w każdej okoliczności. Trzeba było kilkunastu lat, aby życie zmusiło ludzi do zrozumienia, że niedołęstwo nie jest zasadniczym atrybutem kobiecości, który pielęgnować należy.

Z drugiej strony—dziewczęta, nieprzyzwyczajone do samodzielnego myślenia, a przeciwnie: skłonne do przyswajania sobie nowych wiadomości i pojęć metodą uczenia się „stąd—dotąd“, nieraz traktowały harcerstwo, jako jeden więcej przedmiot do nauki.

Jeszcze w roku szkolnym 1915/16, jako członkini komisji egzaminacyjnej na III-ci stopień z ramienia Rady Drużynowych, byłam podobno postrachem egzaminowanych, ponieważ nie pytałam, jaki węzeł służy do „ratowania tonących“, ani jaki do „łączenia dwóch lin różnej grubości“ (określenie z „Vade-mecum skauta“) —ale jak przywiązać hamak do drzewa i jak nadstukować sznur własnym paskiem harcerskim.

Teraz, błądząc po obozie w Rybieniu, z zadowoleniem myślałam, że podobne pytania już nikogo nie zbiłyby z tropu. Myślałam tak dlatego, że kilkanaście lat temu dla nas, młodych instruktoerek, było to nastawienie dziewcząt ciężką przeszkodą do przebycia—dziś już niegroźną. Wtedy harcerki uczyły się zaradności—dziś stają się zaradne.

Nie upodobniły się do chłopców i nie straciły wdzięku; zato przewyciężyły zabobonny lęk przed





*Telefon polowy łączy obóz z Warszawą*

młotkiem, piłą i kablem, jako narzędziami „niekobiecej” roboty, i to im na złe nie wyszło.

Rezultaty techniczne są nietylko efektowne, ale naprawdę bardzo solidne. Namioty rozbite naciągnięte i okopane bez zarzutu. Wewnątrz namiotów doskonale wykorzystanie miejsca na półki, wieszadła do ubrań, butów i t. p. wygody obozowe. Stoły jadalne wszędzie wykopane w ziemi i ozdobione mchem, szyszkami, muszlami. Niesłychanie to imponuje publiczności, mnie jednak nasuwa refleksje, że na zlocie, jak na zlocie: może to ma sens, jako rzecz, zrobiona właśnie na pokaz dla gości,—ale nadmiar tych rzeczy w obozach jest raczej objawem ujemnym. Aby nie pomawiano mnie o uprzedzenie i złośliwość—postaram się to uzasadnić.

Obozownictwo nie może być celem samo w sobie. Nie po to rozbija się obóz, aby od początku do końca jego istnienia upiększać (!) go klombami dywanowymi z mchu i szyszek i codziennie tracić czas na konserwację tych rzeczy, ale, aby w racjonalnie i jaknajwygodniej urządzonym obozie pędzić życie, możliwie zbliżone do przyrody, hartując się pod jej wpływem moralnie i fizycznie.

Zastrzegam raz jeszcze, że nie piszę tych uwag pod adresem zlotu specjalnie, ale wiem, że w normalnym żeńskim obozie łatwiej o klombiki, niż o obłaskawione zwierzę, czy ptaka, lub dobre zdjęcia z życia dzikich współmieszkańców tegoż samego lasu, w którym obóz rozbito.

Zdobnictwo to nie ma nic wspólnego ze sztuką i estetycznie nie kształci: wpływa raczej z wrodzone dziewczętom drobiazgowości.

Nie wiem, co orzeknie komisja sędziowska; na mnie jednak najlepsze wrażenie wywarł obóz chora-

gwi warszawskiej: — wszystko dobrze wykonane, proste, bez żadnych zbytecznych ozdób. Jedynym przejawem obozowo-artystycznej twórczości jest mała kapliczka na drzewie — miła w proporcjach, a również prosta i skromna. Nie darmo harcerki z tego terenu noszą oznakę „córek puszczy” (trzy szyszki na kolorowym sznurku)—ich obóz ma charakter prawdziwie puszczański.

Porządek wszędzie taki, że sam minister Składkowski nic złego by nie znalazł.

Docieram wreszcie do końca obozu: namiotów drużyn zagranicznych i świetlicy. Stwierdzam, że nasze instruktorki w szarych frenczach i Badenpowellowskich kapeluszach wyglądają o wiele bardziej po angielsku, niż angielfki, ubrane granatowo. Za to szkot-

ki wyglądają bardzo charakterystycznie w kraciatych spódniczkach, a ich śliczne tańce, wykonywane w dodatku z nadzwyczajnym wdziękiem, budzą zachwyt nietylko wśród gości, ale i wśród uczestniczek obozu, które same mówią, że, widząc to codziennie—napatrzeć się nie mogą.

W świetlicy—tłok. Prócz rodziców, którzy przyjechali odwiedzić swoje córki—cały szereg wybitnych osobistości ze sfer urzędowych, pedagogicznych i organizacji społecznych.

No, i naturalnie, prasa, fotografowie...

Znowuz nieodparcie nasuwa się porównanie z pierwszymi latami harcerstwa.

Jak jednak szeroko wrosło harcerstwo, jako organizacja, w nasze społeczeństwo, i jak nieodparcie, chociaż powoli, wrasta idea harcerska w życie! Może



*Posiłek przy stole obozowym*



to wpływ promieniującego z obozu optymizmu, ale nagle, w tem spoglądaniu wstecz na przebytą drogę, wydało mi się, że powoli zaczyna się spełniać nasze marzenie z lat dawnych: że jednak harcerski system wychowania zaczyna przenikać do metod szkolnych, przesącza się tam, dzięki licznym już nauczycielkom-harcerkom. Harcerstwo też realizuje powszechną ideę braterstwa; kto wie, czy nie lepiej, niż Liga Narodów.

Oto każda harcerka, która była na jakimś zlocie, czy wycieczce zagranicą, koresponduje z jakąś cudzoziemską skautką; nieraz zaprasza ją do siebie,

do Polski. Teraz na zlot przybyło 30 angielskich i szkockich. Spotkałam na zlocie Angielkę, która już w Londynie, zaprzyjaźniwszy się z drużyną Olgą Małkowską, zaczęła się uczyć po polsku, a teraz już mówi wcale nieźle i nieraz odwiedzała Cisowy Dworek. Spotkałam drugą, która po jednej wycieczce tak zachwyliła się Polską, że przyjechała tu na dłuższy pobyt, jako nauczycielka angielskiego.

Te i tym podobne wypadki, których harcerstwo zna już sporo, to nietylko przyjacielski kontakt z bratnią organizacją, ale i doskonała propaganda Polski zagranicą.



M. H. SZPYRKÓWNA

## KULTURA CIAŁA

Nie mam pojęcia, czy nasze nadprababki miały także jakieś okazje, że tak powiem, usankcjonowane przez opinię publiczną, kiedyby ciało, jako takie, świętowało otwarcie swoje triumfy, tak jak nasze — dziś? Mam wrażenie, że jednak — nie! Wprawdzie prababciowe portrety ukazują nam przedziwne dekolty i ramiona, wyłuskujące się w sposób bardzo zalotny z mnogich, a skomplikowanych obsłonek. Obsłonki te jednak istotnie były tak skomplikowane, że niejako zasłaniały mnogością swoją nagość dekoltu. Tiule, rieszki, falbanki, szarfy, gazy, krynolinki z narzutkami i niezliczone inności — tak szumiały, wiewały, słały się i owijały dokoła kobiety, że ona sama była najmniej bodaj widocznym szczegółem własnej toalety. I wszystkie wdzięczne twarzyczki ośmnastowiekowe, bądź — dzięki manierze malarstwa, stylizującego je na pewien obowiązujący szablon, bądź też — dzięki istotnemu szablonizowaniu rysów odrębnych przez ówczesną modę — wszystkie te wdzięczne markizy i pasterki, spoglądające ku nam z minjatur, są nieosobowe, jak sylwetka z maskarady. I, Bóg raczy wiedzieć, jak ich ówczesni a mnodzy — to także należało do mody! — wielbiciele odróżniali bez pochyby damę serca od drugiej, kropka w kropkę podobnej do niej damy... jeśli, broń Boże! obie nalepiły sobie muszkę na jednym policzku?

Jestem obecnie w jednym z naszych uzdrowisk małopolskich. Sapristi Christi! Co za esplanada, bez-

żenada i... jeremjada, jeremjada, jeremjada ciała! Pierwszy raz doszłam do wniosku, że kult ciała jednak musi być wprost przymusowo wprowadzony, ażeby usunąć, przekształcić, zmieść z widoku publicznego jego oplakaną i budzącą politowanie akulturalność! Zwłaszcza typy semitek wprost narzucają się oczom i wołają o pomstę do... mężów, którzy takie kobiety w swoim najbliższym otoczeniu tolerują, nie zwracając na to uwagi — we właściwym czasie! Kiedyś, jako mała dziewczynka, widziałam barany południowe, o tuczonych specjalnie zadach, których ogony, ciężkie od tłuszczu, spoczywały na specjalnych kółkach, bo same zwierzęta dźwigałyby ich już nie mogły. Zupełnie to samo! Szalone tusze, wylewające się wprost nadmiarem na oba fronty, wołają gwałtem o pomoc. I jakież tam są ciała, jakie fantasmagorie ciała, pokreślonych przekleństwem wszystkich chorób ziemi! Leżące się od tłuszczu, jak rzadkie ciasto, i wyschłe na szczapę. i żółte od chorób, i obsypane wyrzutami, i pokurczone artretyzmami, i zgięte od reumatyzmów, i sparaliżowane, i utykające, i zadyszane, i sapiące, i chrapliwe, i bezdennie smutne świadomością własnego upośledzenia! Nieprawdopodobna, niedostrzegalna w rozproszeniu i szablonie miejskim, nędza ciała, zaniedbanego przez odpowiednią kulturę, a zniekształconego przez nieodpowiedni tryb współczesnego życia: tu, na lotnisku, w uzdrowisku, w skupieniu wielkiej masy na małej przestrzeni — przybiera rozmiary zmory.



Gdyby znalazł się jakiś szalony malarz-secesjonista, jakiś Lord Paradoxs w dziedzinie pendzla, jakiś Rops, czy Goya, któryby obsiadł się na szczycie jakiejś Szczawnicy czy Krynicy, Rabki czy Truskawca: stworzyłby cykl wiekopomnej brzydoty. Brzydota może genialnej, gdyby została stworzona przez genjusza, ale o którejby w biegu wieków mistrzowie mówili uczniom, a badacze dawali za ilustrację dekadencji ciała w dwudziestym stuleciu od śmierci greckiego piękna. Ach, to greckie piękno! Upodwładniło sobie niegdyś duszę i chciało się stać jej namiastką. Dusza zemściła się straszliwie: chłostała je średnio-wieczną biczownicą, darła włosienicami, rzucała krzyżem na flizy kościołów i trzymała na łańcuchu w obliczu kuszącej uczyty życia, jak głodne zwierzę, które się uczy warować grozą głodu. Dusza triumfowała! Ciało zostało postawione, niejako, na właściwe sobie miejsce: przestało się kusić o reprezentację i feudalizm! Pokłoniło się do stóp niewidzialnemu poskromicielowi i wyrzekło w pokorze:

— Gdzie ty, Cajus, tam i ja, Cajo. Będę istniała w cieniu twoim!..

I straszliwe były tego krańcowego odcieleśnienia wyniki. Ciało zbrzdęło! Jak niekochane w rodzinie dziecko, żyło ochłapkami łaski, zdane nieraz na własne widzimisie. Dopadało jadła — i zjadało się, niepamiętne piękna proporcji. Piło — i zapijało się. Komuż była potrzebna boska harmonja kształtu, skoro musiał się kryć wstydliwie za fałdy szat, przemycać się niejako ukradkiem, być jedynie z konieczności tolerowanym? Umarły igrzyska, gdzie pięknu ciała składano boskie ofiary! Zostały tylko... amerykańskie konkursy piękności, i to tylko dla kobiet kwitnące! Mężczyzna, jako piękno kształtu, ze wstydem został z widowni wygnany: tylko na ekranie wolno mu jeszcze olśnić wielbicielki urodą... po kołnierzyk, uzupełnioną zresztą sownie wspaniałością i dobozem krawatów, uśmiechów i Calodontów. I, Boże! Niech mi pokażą geniusza, któryby potrafił być klasycznie i grecko piękny w klasycznym brzydota angielizmie europejskim? Albo melonik? Proszę! Apollo w meloniku mógłby być co-

najwyżej... Rudolfem Valentino. Co nosili grecy na głowie, o ile nie byli bohaterami i nie mieli kasków? podobno, wieńce! Słabo to sobie wyobrażam (komi-niarz? murarz? dorożkarz?.. Gdyby takowi istnieli, byłaby to świetna okazja dla przysłowiowego konia, żeby się mógł raz uśmieć!). Przypuszczam raczej, że coś tam musieli mieć na tych boskich głowach, ale podobnej brzydoty, jak nasi współcześni dzentlmeni, nie nosili napewno. Złośliwszego figla, niż strój męski współczesny, mężczyzna sam sobie nie mógł splecać — podczas gdy kobieta, przeciwnie: — dochodzi w swoim stroju do wyrafinowania i kokieterji, której napewno ani greczyńki, ani rzymianki nie powstydzilyby się i wtedy — za czasów kultu ciała.

I niewątpliwie, dzięki kobiecie, kult ten — ku złemu, czy ku dobremu?.. — zaczyna znowu zmartwychwstawać. Grecja górą! Na plażach i na kortach tenisowych, po pływalniach i salach rytmiki odnajdujemy już... sceny greckie. Aż zabardzo greckie nieraz, jeżeli idzie o pewne kanony współczesnej przyzwoitości!

Zwłaszcza na plażach pęd ku starożytności u młodych budzi w starszyźnie dość uzasadnione obawy. Wszystko lata nago, opala się pod wspólnym parasolem, który chroni od słońca, ale świetnie, niestety! obrysowuje cienie; kąpie się we wspólnem morzu i podsycha na wspólnem prześcieradle. Ale trzeba wyznać, że widok tam jest dużo, dużo miłszy. Widzi się tylko zdrowe, ładne, pielęgnowane ciała: inne się wstydzą nagości i skromnie plażują odziane. I jeśli się jest naprzód w takim miejscu, gdzie straszne, biedne, pokręcone ciała skupiły się, aby leczyć swoje brzydota i swoje cierpienia, a potem na takiej plaży... greckiej (pojawia się swobodnie nad polskim morzem od Helu aż po Sopoty): wtedy ma się szczególne wrażenie.

Że oto kobiety się połapały i na gwałt usiłują nadsztukować stracone wieki: jedne się jeszcze leczą u uzdrowieńczych źródeł, a inne — te plażowe — już się uleczyły, i triumfalnie, szczęśliwie, rozgłośnie wołają ku słońcu, bronzowiejąc, jak greckie posązki:

— Nie boimy się, jesteśmy ładne! Świeć!





LUCYNA KRZEMIENIECKA - WOLICOWA

## T A R G

Seledyny sałat w kramów ciemnej wnęce,  
ceglastych marchewek warkocze rozwiane.  
Słońce w beczce ogórków załamuje ręce  
i ciska promieniami w błękitny poranek.

Karpie burzy szukają, wpatrzone w głąb balij,  
rzewnie chrzęczczą targane za włosy cebule,  
wiatr kradnie pocałunki z bladych warg konwalij,  
przywiedłych bzów naręcza do piersi przytula.

Perkalikom kraciastym, w kółka wielorakie,  
rosną skrzydła pstrokaty i cicho trzepocą...  
Gdzieś nad dalekim stawem rwane tataraki  
skarżą się szafirowych niezabudek oczom.

Na maleńkich konewkach jest niebo blaszane  
i bawiące się piłką nieruchome dzieci.  
Są chwile kolorowe, wstające nad ranem  
w szklanych oczach paciorków, w rozżęczonym świecie.

Pójdę rankiem, gdy będą szły na targ dziewczyny  
kupować kwietne chusty na niedzielne wyjście,  
i sprzedam świeże serce, w koszyku z łoziny —  
mokre od mojej pieśni, jak od rosy liście.





KAROL PORAJ KOŹMIŃSKI

## ZWYCZAJNE DZIEJE

...„Jeżeli bowiem słońce płodzi  
w zdechłym psie robaki — pro-  
mienienie bóstwa ścierwo całują“.  
(*Hamlet. Akt. II, Scena 2*).

Tego wieczoru pan Bratkowski marudził bardziej, niż zwykle. Jego śpiczasty, czerwony nos, bądźmy szczerzy: z wieczną kapką na końcu, wodził niedowierzająco po papierach, szperał długo, czy niema w nich jakiegoś niedopatrzania lub pomyłki, czy zgadzają się cyfry i litery pakietów, adresy i nazwiska. Jego poplamione atramentem ręce ważyły po raz setny już chyba każdą kopertę, myszujące oczka nie wierzyły, czy aby koperty, już w końcu zaklejone i zapieczetowane, zawierają to właśnie, co zawierać miały.

Ale, że wszystko ma swój koniec, więc też i w pewnym momencie pan Bratkowski krzyknął stanowczo:

— Pakować!

Z ulgą westchnął woźny jeden i drugi. Posypały się na dno „ministerjalnego“ worka pakiety różnej wielkości i kształtów, przeznaczone do placówek i dla osób urzędowych; szybko też worek wypełnił się tak, że już tylko potrząsnąć, zebrać brzegi, zakręcić i zawiązać — jak wór ze zbożem w spichrzu.

Zaczem końce sznurków przewleka się przez otwory deszczułki i już leje się z nad zapalanej świecy gorący wosk czerwony, a dalej już i korona tej czynności, chwila, do której pan Bratkowski zabiera się zawsze z zapartym ze wzruszenia oddechem: wyciśnięcie na laku pieczęci urzędowej.

Wtedy to na chwilę wszystko ucicha. Żaden z pakietów „nie śmie“ szeleścić w głębi worka. Woźni przestają sapać.

Lak gęstnieje na deseczce... Pan Bratkowski już otworzył kluczykiem małą, czarną szafeczkę, wyjął stamtąd tłok pieczętny największych rozmiarów, podrapał paznogciem mosiądz, ile było potrzeba i, jeśli mamy być ściśli: zlekka na godło państwa splunął (jest to, niestety, przy tej czynności konieczne!), i oto krążek pieczęci już graży się w zastygającym laku.

Chwila tej najważniejszej urzędowej ciszy. Rzekłbyś: minuta milczenia. Jeden szybki, niezrównany ruch i...

— A co?—pyta pan Bratkowski, z triumfem patrząc na woźnych.

Nie, stanowczo nikt tak nie wyciśnie pieczęci. Jaka gładka, czerwona powierzchnia, jaka ostrość rysunku i liter, jakież blask! Doprawdy, w tej dopiero ostatniej czynności widzimy, co to jest ta stara, dobra szkoła.

Jakby z żalem zamyka teraz pan Bratkowski pieczęć w swej szafce. Cóż go dziś jeszcze czekać może? Ostatnia czynność dnia spełniona, kurjer nocny odjeżdża. Na taki moment, jak ten, czekać będziemy musieli znów przez cały długi dzień następny. I dopiero znów wieczorem...

„Kurjer“ we wszystkich tych manipulacjach nie brał żadnego udziału. Siedząc przy stoliku obok, przeglądał wieczorne gazety, potwierdzał w ogromnym, jak prześcieradło, kwitarjuszu odbiór poczty, składał starannie swój list kurjerski, chował go do bocznej kieszeni na piersiach i odchodził. Pan Bratkowski lubi szczególnie tego właśnie kurjera. On tak cierpliwie czeka zawsze, aż wszystko będzie gotowe, tak poważnie traktuje czynność szefa „biura kurjerów“, z takim poszanowaniem słucha jego doświadczonych wskazań i rad. Nie, takiego drugiego kurjera niema z pewnością! I tylko też jemu pan Bratkowski robi ten zaszczyt, że, już po pożegnaniu się, wychodzi jeszcze za nim na korytarzyk i przez drzwi szklane patrzy swem błękitnym, drapieżnym oczkiem, póki bagaż nie zostanie załadowany na samochód, póki na podwórzu, u bramy, nie błysnie w kłębach gazu czerwona latarka.

Gładki asfalt, odbijający w swej lustrzanej powierzchni różnobarwne smugi kolorowych świateł, reklam, latarni, poczem plac pusty, na który patrzy konny posąg wodza z mieczem w dłoni; poczem szum okrytych gęstym liściem drzew, i zapach lip z ogrodu, i już zgiełk jarmarczny długiej i prostej ulicy, wiodącej na dworzec kolei żelaznej, skąd o tej porze odchodzi cały szereg pociągów we wszystkie strony świata.

Na peronach, po krótkim, pachnącym deszczu letnim, mokro trochę i ślisko. Jeszcze kilka dzienników, może książka, na drogę kupiona w barwnym, zalanym światłem kiosku, torebka owoców w kieszeni od płaszcza i trzeba wsiadać. Czasu do odjazdu jest dość, ale trzeba wreszcie zwolnić jednego z woźnych, który aż tu na dworzec przybyć musiał, a mieszka hen, na krańcach miasta.

Tak więc „kurjer“, w szarym, luźnym płaszczu i szarej podróźnej czapeczce, zresztą i w szarem, trochę jakby amerykańskim ubraniu, staje u drzwi ostatniego wagonu. Były to jeszcze czasy, kiedy nie znano pewnych przykrych „restrykcji budżetowych“, i kurjer ministerjalny, wiozący ważne papiery (jakież wreszcie papiery urzędowe nie są ważne?), jeździł oczywiście tylko pośpiesznym pociągiem i, jeżeli jechał na noc, otrzymywał miejsce w wagonie sypialnym. Dawało to duże gwarancje bezpieczeństwa owym wor



kom urzędowym i zapewniało komfort możliwy ich strażnikom. Tak więc w tej chwili pan Wosik w swym pięknym, brązowym uniformie ze złotymi guzami, który dotychczas z pewną niedbałą wyższością pomagał wsiadać do wagonu swym tłustawym i kędzierzawym pasażerom, jakich wszędzie w wagonach sypialnych pełno, zoczywszy szarą postać, dobrze już sobie znana, uśmiechnął się przyjaźnie i zawołał:

— Trzynastka czeka.

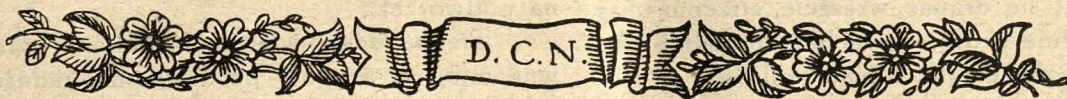
Pomocnik pana Wosika, pan Storch, wór „ministerjalny“ wciągnął do przedziału wprost oknem. Poczem z lekkim skórzanym sakwojazem w ręku (który usiłował wziąć usłużny pan Wosik, — napróżno) „trzynastka“ wsiadła. Potoczyła się życzliwa, niemal koleżeńska gawęda, przerywana jednak co chwila przez napływających wciąż towarzyszy podróży, gości, szukających swych miejsc, i panów, poszukujących „panów, którzy odjeżdżają“; trzask drzwi coraz częstszy, opuszczanie i podnoszenie szyb, rozmowy, prowadzone w przeróżnych językach, nawoływania i słowa pożegnań. Pociąg niedługo ruszy. Na górne miejsce wpakował się jakiś zaferowany komiwojazer, który układa się do snu; na swej „trzynastce,“ nakrytej kocem, siedzi nasz kurjer, pan Jerzy S., i patrzy przez okno. Worek „ministerjalny“ ułokowany jest pod składanym stoliczkiem, płaszcz i czapka wiszą na swoim miejscu, nesoser skórzany — w głowach. Zgiełk cichnie. Jest

już późno. Coraz to z trzaskiem zasuną się drzwi któregoś z przedziałów—to goście peronowi odchodzą; coś miękko na przodzie pociągu stuknęło, drgnęły bufory i koła—to podano maszynę, która syczy zdaleka parą. Jeszcze parę minut... Leciutko drżyszklanka na stoliku przy oknie; powoli sunąc poczynają wstecz okna wagonów pociągu, który później od naszego odejdzie; jakiś puls nowo-zrodzonego życia pod naszymi nogami, powolny, rosnący...

Jedziemy.

Pociąg postukuje po zwrotnicach, zostawia za sobą sieć torów, zbiegających się, jak strumienie, w jedno koryto rzeki, domy, miasta, skrzyżowania długich, prostych, oświetlonych rzędami latarni ulic; zapóźnione, dążące do remiz wozy tramwajowe...

Teraz wygina się tor kolejowy w wielki łuk, a miasto, drgające miliardami światła, zostało na boku. Górą—rózowa mgła łuny nocnej; dołem, stronami—pustki ciemne. Oto na ciemnym tle szyby okiennej mignęła czerwono-złota iskra z parowozu: jedna, druga, dziesiąta. Całe garście skier, całe smugi długich, ognistych nici, całe ich snopy. Pędzą obok nas i mrą w swym krótkim żywocie—bez śladu. Ale, choćby żyły, niedługo je będziemy oglądać: z końca wagonu idzie korytarzem pan Wosik i zaciąga na noc rolety. Sprawdza, czy okno zamknięte, ściąga sztorę, zapina ją starannie na metalowy guzik.



M. MÓROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA

2)

## WILLA POD MIASTEM

(n o w e l a)

— Ładnie, zdawało mi się!—pokazała pani czerwona centkę, widoczną przez cienką pończochę.

— Musiałaś mieć tę pchłę; pchły podobno trzymają się kobiet...

Pani obraziła się i poszła sama na spacer.

Dobiegł ją gromki głos męża:

— Czekał i my idziemy!

Spacer był burzliwy. Nie miał w sobie elementu spokoju. Krzyki: „noga! za nogą! a to bestja! będziesz mnie słuchał!“—rozdierały powietrze.

W pewnym momencie Rex wyrwał się z rąk pana i pomknął przed siebie. Benio gonił psa, wołając wielkim głosem psie imię i nawołując żonę, aby psu zaszła drogę; wreszcie pies zatrzymał się, dzięki szczęśliwej okoliczności, że długi rzemień oplątał się do koła maleńkiego dębczaka.

Pies dostał pejczem, wypełniając okolicę wrzaskiem, poczem wysłuchał długiego kazania z palcem pańskim na swym nosie. Oblizywał się i mrużył oczy.

— Ale mądre bydło! Nie można go puszczać z domu, bo nam ucieknie. Musisz chodzić z nim codziennie na spacer.

— Ja? ani myślę! Jeśli tobie się wyrwał, ja go nie strzymam...

— Mnie się wyrwał przypadkiem...

— Mnie także może się wyrwać przypadkiem.

Teraz pan się obraził; nie odezawszy się już, wracał z pieskiem do domu.

— Gdzie on będzie spał? — zapytała pani wieczorem.

— Janko, gdzie? przy moim łóżku... pies myśliwski musi spać obok myśliwego!



— Ależ ty nie jesteś myśliwy!

— Jakto, nie jestem myśliwy? co ty o tem możesz wiedzieć?!—zawołał Benio, purpurowy z obrażonej dumy męskiej.

— Będę myśliwym! a zresztą, ja już byłem myśliwym! tylko zarzuciłem ten sport z powodu niesprzyjających okoliczności...

— Nie wiedziałam o tem... jest to sport doskonały dla ziemian...

— A my nie mamy ziemi? połowa moich kolegów biurowych jeździ na polowania... nie zapominaj, zresztą, jaka krew w moich żyłach płynie!...

Pani zamilkła, pamiętała bowiem, że drzewo genealogiczne jej męża zawiera jednego prowincjała Jezuitów, a nie była pewna, na czem ta funkcja mianowicie polega... czy nie na myśliwstwie w szczególności?...

Stało się. W sypialni właścicieli „Sonaty“, w „nogach“ pana domu, dostał posłanie Rex.

Ponieważ pani, oszołomiona niesłychanemi wypadkami, nie mogła zasnąć, słyszała chrapanie męża; po jakimś czasie przyłączyło się doń chrapanie psa, który pozatem poszczekiwał przez sen, jęczał i skamlał.

Około drugiej w nocy pies wstał, przeciągnął się, ziewnął głośno, jął się drapać, wreszcie, strzepnąwszy mocno a kilkakrotnie skórę, obwąchał dokładnie oba łóżka i zapiszczał przeciągle, a nieustępliwie.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, jakiej natury jest potrzeba gryfona.

Ponieważ pan, chrapiąc na różne głosy, nie słyszał psich niepokojów, pani pociągnęła go za rękę.

— Aha... ha... co?...

— Twój pies... porozum się z nim... ma jakieś potrzeby...

Pan zerwał się, naciągnął spodnie, narzucił palto, wziął na smycz psa, skaczącego z radości, iż zrozumiano jego potrzeby, i znikł w ciemnościach nocy.

Po chwili rozległo się grube szczekanie Rexa; w odpowiedzi tu i tam poszczekiwać zaczęły inne pieski, i, gdy obaj panowie wrócili do pokoju, Benio mówił z triumfem:

— Jak to dobrze mieć psa! zdaje się, że Rex przepłoszył złodziei! teraz przynajmniej będzie człowiek spokojnie sypiał...

Położył się i po chwili znów chrapał, jak człowiek, który ma czyste sumienie, a ciało zmęczone.

Pani jednak nie spała. Przewracała się z boku na bok. Piesek znów wstał, potrząsnął kilkakrotnie głośno skórą, obwąchał łóżka; nie zażądał jednak przechadzki, lecz, wyciągnąwszy wszystkie cztery łapy przed siebie, westchnął ciężko i zasnął.

Nad świtaniem zasnęła i pani.

Śniło się jej, że Rex gryzł się z jakimiś wielkimi psami, wreszcie rzucił się na nią, a gdy go odepchnęła, wyskakiwać zaczęły z jego sierści pchły, wielkości świeżo wylęglých kurcząt; odpędzała je rękami, lecz one, nieustraszone, regularnemi ruchami skakały na nią, równo, do taktu. Na trzy czwarte, potem przeszły w dwie trzecie. Zaczęła płakać i obudziła się.

Pan domu krzyczał, że jeszcze niema śniadania.

— A nie wypuszczaj psa samego! i nie dawać mu jeść! ja sam!

— A pilnuj, żeby nie uciekł!...

Od tego czasu porządek dnia zarysował się jasno. Spacerowanie z psem, skowytanie o jedzenie, powrót pana, karmienie psa, spacer pana z psem, ćwiczenia pana w strzelaniu (w krążek papieru z czarnym kołem w środku).

Pan mniej więcej dwie godziny psuł patrony i dziurkował papier, a pies przyglądał się temu jednym okiem, drugim—drzemiał.

Pani zaś gorączkowo, uparcie, bez wytchnienia, łapała pchły. Pewnego dnia wpadła na genialny pomysł. Cały dywan w sypialni wysypała proszkiem perskim. Ale pan za to bardzo krzyczał:

— Pies mi straci węch! zaraz z tym dywanem na podwórzel!...

Trzepano go, wietrzono, objmano; wrócił na dawne miejsce, a pchły po dawnemu, radośnie i niefrasobliwie rozmnażały się w jego puszystej powierzchni.

— Prawda! wykąpnij psa! — zgodziło się małżeństwo.

Pies protestował, wrywał się, przysiadł w wannie, wypryskiwał raptownie; z pana ciekł obficie pot; gdy wreszcie gryfon wyrwał się z mocnych rąk pańskich, długi czas opryskiwał dokoła siebie meble i ludzi, otrzepując z zapamiętałem obrzydzeniem pozostałą na powierzchni sierści wodę. Na drugi dzień—uciekł.

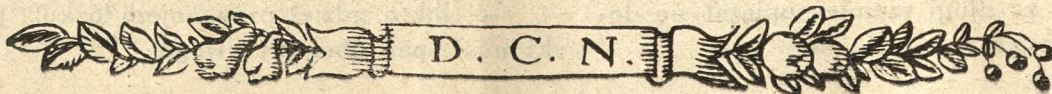
Rozpacz pana była wielka. Właśnie płacił pierwszą ratę.

Radość pani, ukryta w sercu, była ogromna. Może wróci stracona cisza i spokój. Może ustanie strzelanina w ogrodzie; może wraz z nią przejdzie manja polowania.

Po dwóch dniach, zgłodzony, obity, zmarnowany, Rex wrócił. Zateśknił za jadem i perskim dywanem.

Ściany „Sonaty“ zdołała teraz dubeltówka i sztucer. Na osobnym stoliku stały patrony, ważki, śrut, kijki, pakuły, flaszki z olejem.

Zaproszony na jakieś polowanie, pan zabił zająca i wrone.







Parc de VERSAILLES - Hameau de Marie-Antoinette - La Maison de la Reine  
Hamlet of Marie-Antoinette - The Queen's house A. P.

*Dworek Marii Antoininy w parku Wersalskim*

ZYGMUNT KNOTHÉ

## OGRODY I PARKI

*Park sentymentalny.*

Przyszedł taki dzień, że się sprzykrzyły ludziom wytwornym sztywne, lenotrowskie ogrody. Szerokie, równe, biegnące wdał aleje, okrągłe lub owalne baseny, wystrzyżone w geometryczne bloki drzewa, symetryczne, ogromne kobierce zielono-barwne, wokół osiowego pałacu rozłożone. Sprzykrzyły się wraz z nudną monotonją etykiety dworskiej, jarzmiącej nie tylko Wersal, ale cały arystokratyczny świat, sztucnością życia, utartymi przez wiek konwencjonalnymi zdaniem w pewnych sytuacjach, przepisaniem ruchami i zajęciami. Sprzykrzyły się sztywne, ogromne krynoliny, ciężkie adamaszki i atłasy, potworne peruki rokoka. Sprzykrzyła się słodka maska uśmiechu, kryjąca tak samo ból i radość, smutek i wesele. Sprzykrzyło się życie bez niespodzianek, czcze i puste, w którym się pomieszała wiara z zabobnem, uczucie — z cyniczną zabawą, prawda — z obłudą.

Znalazł się wówczas człowiek—Jan Jakób Rousseau—który pierwszy po wielu latach przypomniał ludziom, że istnieje taki cud, jak natura, i taki twór, jak człowiek, i że ten ostatni powinien się z nią zbliżyć, a dusza jego znajdzie ukojenie i szczęście. Poszli w ślad za nim autorzy przeróżni, poczęto chwalić dzikie puszcze, gdzie się kochają ludzie i zwierzęta, ubogie chatki, gdzie pasterze biedni żyją, niby w raju; poczęto opiewać cuda natury i rozczulać się do łez nad byle czem. Prysła sztuczność i sztywność, znikł uśmiech obłudny. Włożono powiewne, lekkie stroje, na jasne pukle kapelusze słomkowy; z laseczką w rękę, wysoką i cienką, wyszły wytworne damy

z pałaców i zamków—poznać się z naturą. Z romansem w rękę, z lornetką przy oczach, szukano uczucia zgubionego. Jak daleko wzrok sięgał, aż po bramę parku i mur go okalający, chciano gwałtownie stworzyć nowy świat—świat idealnej sielanki, gdzieby zakwitło zapomniane szczęście.

Precz ze sztucznym, zielonym salonem, banalnym, jak dotychczasowe życie! Precz z prostymi, szerokimi drogami! Niech się odtąd wiją aleje wśród drzew starych krętą wstęgą. Niech giną w zarosłach, w których może zaczajony satyr ukazać się wieczorną porą; niech płyną szmaragdowymi łąkami, pełnymi polnego kwiecia; niech wiodą do zacisznych gąszczów, gdzie słowik trele nocą wywodzi, kędy na cokole amor z marmuru łuk swój naciąga, a na małej ławeczce słodko jest spocząć przy boku tego, kto nadejdzie...

Niech odtąd drzewa, torturowane nożycami ogrodników, rozwiną swe pyszne konary w zielony baldachim, niech rzucą nieregularny, strzępiasty cień daleko wokoło: jakże rozkosznie będzie zasiać pod nim w upalny dzień na kobiercu traw i wic wieniec z kwiatów wonnych!..

Niech odtąd strumienie płyną swem korytem, wyrzeźbionem przez naturę wśród skał i piasków, pod drzewami i przez łąki; niech stawy przyjmą naturalną formę, wyzbyte kamiennych obramień; popłyną po nich łabędzie śnieżyste i łodzie umajone przy dźwiękach gitary i plusku wiosel!..

Niech zabije w piersi mocno serce, prawdziwem uczuciem poruszone!



Powiew mody bywa czasem silniejszy od huraganu. Zakotłowało się w barokowych parkach. Pa-dały pod siekierami wyciągnięte w prostą linię aleje drzew, a na ich miejsce sadzono gaiki tajemnicze; plątano proste drogi, stwarzano gąszcze nieprzebyte, sypano wzgórze, gdzie ich brakło, drążono grotty. Ogród musiał być tajemniczy, pełen niespodzianek, pełen ustroni rozkosznych, zakątków, polanek, łączek. Chciano w obrębie parku mieć cały świat dzikiej natury, o którym tak pięknie pisano w książkach. Nie myślano, czy to będzie śmieszne, czy przesadne. Chciano całe życie zewnętrzne dla ludzi pałacowych, życie biedaków szczęśliwych—stworzyć u siebie, by móc się w nie bawić. Bawiono się, nie wiedząc, że to zabawa. Myślano, że tak naprawdę się dzieje, że będzie się żyło, jak oni i jak oni, myślało—a szczęście przyjdzie samo.

Urządzano kaskady szumiące, budowano tunele, przez które rzeczka przepływała (ileż wrażeń—płynąć z pochodnią zapaloną ciemnym korytarzem, w wygodnej łodzi, i za chwilę znów się radować słonecznym blaskiem!) Wznoszono dworki malutkie, zakładano fermy, z gołębnikiem w środku podwórka i stajenkami po bokach; budowano młyny, wiatraki, chatynki ubogie. Wstawiano małe szybki, pokrywano mchem strzechę niską. Jakież to malownicze, gdy o zachodzie słońca okienko błyszczący, niby ogień! Jakże inaczej wzrok je pieści, po wyniosłych, dumnych murach pałaców! Wyrastały małe domki, tak pysznie kryjące się pod konarami starych drzew, kąpiące się w powodzi dzikich kwiatów, krzewów i wysokich traw. A wewnątrz?.. Cóż mogło być wewnątrz? Przecie nikt nie mógł zbadać, co było w izbie biednego chłopka, a dla ludzi z pałacu było tylko jedno wnętrze zrozumiałe: — salon. W chałupce musiał być salon, bo jakżeż, co by robiono w inaczej urządzonej izbie? Na to nie umiano sobie odpowiedzieć.

Urządzano więc w pozornie biednych, malowniczych chatkach zbytkowne apartamenty. Wykładano je lustrami, porcelaną, cennym drzewem, marmurami. Wstawiano złocone meble, kryształowe naczynia, srebrne świeczniki. Bawiono się kontrastami: zapadły w ziemię domek pustelnika miał wewnątrz wspaniałe, marmurowe schody, a pod ziemią znajdowała się balowa sala, urządzona z całym możliwym przepychem. W pewnych chwilach nie krępowano się pozorami prostoty, hasłem naśladowania życia prostaczków, całkiem zresztą nieznanego. Gdy się sprzykrzyła sielanka z fletem i dojeniem krów — wracano do salonów, by w świetle świec kończyć menueta.

W pozornej hipokryzji ukrycia salonu w chałupie jest może najwięcej prawdy, jest cała charakterystyka tych czasów. Stworzono powierzchowny światek, ludzono się jego prawdziwością, myślano, iż zaczęto nową epokę — a w gruncie rzeczy dusze pozostały te same, choć pozwolono im kochać naprawdę,



Świątynia Miłości w parku Wersalskim

plakać i śmiać się szczerze. Nowa epoka została tylko nową dekoracją, kaprysem przeżytych ludzi.

Lecz o tem nie wiedziano wówczas. Z zapalem bawiono się w gospodarce. Wielkie damy hodują kury i kaczki, uczą się praścić; panowie pasą kozy i baranki (codziennie myte przez służbę), grają na flecie i mówią greckie wiersze. Panie w prostych sukniach, ale z jedwabiu, poprzez rękawiczki doją krowy do porcelanowych lub srebrnych waz, specjalnie zamawianych w fabrykach; śpiewają i wiją wianki. Noszą wysokie, pasterskie laski i kapelusze od słońca. Ale pod wieczór wracają do pałacu, kładą pyszne dworskie toalety i klejnoty.

A w księżycową letnią noc po parku błądzą pary, szukają przeróżnych świątyń miłości, przyjaźni, fontanny zapomnienia, czy strugi życia. Bo w ogrodzie jest mnóstwo miejsc dla wzajemnej spowiedzi dusz, przebudzonych z letargu.

Lubiono tajemnicę, zagadkowość, wierzono w duchy i strachy. W parku musiały być ruiny, jeśli nie prawdziwe, to sztuczne. Jakaś baszta, opleciona dzikiem winem, z legendą o pokutującej duszy pięknej księżniczki, o duchu wiernego rycerza, co wraca każdej nocy pod okno ukochanej; o złym mężu, co cierpi w piekle i, włócząc szatańskimi kajdanami, straszy żywych. Musiała być w parku też i studnia, w której ktoś, kiedyś utonął z miłości.

Wiele było ładnych i miłych zabawek w sentymentalnym ogrodzie schyłku osiemnastego wieku. Potem przyszła rewolucja, krew, śmierć; potem długie wojny. Niejeden park znikł z powierzchni ziemi, niejeden ród wygasł. Przyszła nowa epoka, nowi ludzie. Gdy ucichły armaty, stęsknione do uczucia i spokoju



dusze szukały wytchnienia w zarosłym, dzikim parku. Zawaliły się domki-salony, rozgrabiono cenne przedmioty. Ale odrodziło się echo dawnych lat. Przyszedł romantyzm. Prawdziwe, wielkie uczucia. Przysięgi niezłomne, na kamieniu wyryte zaklęcia. Wielkie marzenia o szczęściu—już nie ludzi, ale narodów. Szumiały stare drzewa parków nad zapadłymi w ziemię pomnikami dla kanarków, gołębi i piesków ukochanych, których panowie oddali swe głowy pod noże gilotyny. Te biedne głowy, w których takie śliczne pomysły powstawały, dziś może wydające się nam

dziecinnemi! Głowy ludzi, którzy nie umieli zbudować innego życia, jak to, które pędzili; którzy się ludzili ostatnią swą sentymentalną zabawą w uczucie; którzy odpokutowali za swoje i nie swoje winy, a jedyną rzeczą, jaką umieli zrobić—było zgrabne wstąpienie na szafot.

Ze sztucznych ruin powstawały nowe mary: bohaterkie urojone duchy rycerzy, lecących co noc na walkę ze złem i przemocą. Coraz bardziej zarastał i dziczał, pełen pieśni słowiczych i zaklęć miłosnych, romantyczny ogród.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

## Z DZIEJÓW ROBOTNICZY FRANCUSKIEJ

Dużo się w ostatnich czasach mówi i pisze o poezji i literaturze proletarjackiej robotniczej, ale ciągle jeszcze jest to literatura sztuczna, tworzona przez inteligencję dla inteligencji, z prawdziwym proletariatem tak mało mającym wspólnego, jak ludowość romantyczna z prawdziwym ludem. Mur niechęci, czasem czułościwej przesady i roztkliwiania się, najczęściej zaś, poprostu, wzajemnego niezrozumienia—dzieli te dwa światy: pracujących fizycznie i umysłowo,—światy, mające ze sobą daleko mniej punktów stycznych, niż klasa posiadaczy, dzisiaj rekrutująca się coraz częściej z umysłowych analfabetów, i proletariatu, w którym t. zw. inteligencja zajmuje miejsce liczbowo wcale pokazne.

Imponującego wyłomu w tym murze dokonała Simona Bodève swoją powieścią p. t. „Piętno“\*). Robotnica, pisząca książkę o robotnicy. Środowisko, odmalowane przez istotę, która jest jego częścią organiczną, która karmiła się jego krwią, zatruchiwała jego toksynami, żyła jego rytmem. Tylko mózg i serce pozostały własne. Simona Bodève jest silną indywidualnością: nie dała się wypaczyć otoczeniu, ale sama je opanowała wyobraźnią twórczą.

Jest to dusza, opętana przez kult prawdy. „Prawdo, jedna i nieskończona, nieujęta i zmienna! zwoźnicza prawdo wszelkiej wiedzy ludzkiej! istniejesz tylko dla tego, kto cię szuka; umykasz się temu, który mniema, że cię dzierży; nie jesteś i jesteś życiem, godna wszystkich imion, zdolna przybrać każdą postać; dla ciebie zerwałam te kwiaty, które przypadek posiał na mej drodze“.

„...Nie jesteś i jesteś życiem...“ Te słowa dałyby się zastosować i do powieści Simony Bodève. Nawał drobnych faktów, natłok postaci, djabelski młyn walki o byt, który pochłania istnienia ludzkie, a wyrzuca strzępy człowieczeństwa — to życie. Mała Lola, bohaterka powieści, wielkością i tragizmem swej duszy przerastająca tłum — to istota z poza życia: niema w niem dla niej miejsca, należy ona do tej dostojnej rasy samotników, dla których samotność jest jedyną ucieczką przed krzywdą i największą udręką serca, wypełnionego po brzegi tkliwością.

Niema na świecie chyba nic bardziej rozdzielającego, jak niedola dziecięca. Pierwsza część „Piętna“ to wstrząsające w swym realizmie martyrologjum dziecka. Lola urodziła się z małżeństwa, które było w założeniu jednym wielkim nieporozumieniem. Ojciec jej, subjekt w dużym domu handlowym, marzy, aby żona była mu osłoda po pracy, jasnym promykiem szarego pracowniczego życia. A ona chce go uszczęśliwić przez zdobycie majątku. Jako wytwórczyni kwiatów, haruje w dzień i w noc. Zabija w sobie młodość, wdziek, urodę. Staje się oschła i niemila dla tego, którego kocha. Wykopuje przepaść pomiędzy sobą, a mężem, a potem widzi z rozpaczą, jak on się w tę przepaść stacza. Mąż zaczyna nienawidzić pracy, która mu zabrała żonę. Ciekawa i całkiem nowa jest ta psychologia „niezrozumianego“

\*) Simona Bodève — „Piętno“ powieść. Przedmową poprzedził Romain Rolland. Przełożył L. Staff — Instytut Wydawniczy „Renaissance“.



i zaniedbanego mężczyzny; te odwrócone role dwu płci, konflikt całkiem nowoczesny, we Francji może dotąd spotykany tylko w sferze robotniczej—u nas coraz częstszy wśród inteligencji, kończący się niemal zawsze katastrofą rodzinną.

Taki był, bowiem, dotychczas ustalony porządek rzeczy, że kobieta z pietyzmem nosiła męczeńską aureolę, ale mężczyzna, z natury bardziej egoistyczny, nie chce cierpieć i cierpienie uważa za ujmę, wyrządzoną jego godności ludzkiej.

Ojciec Loli na obojętność żony reaguje po męsku. Szuka pociechy poza domem. Trwoni zarobione przez żonę pieniądze. Mała Lola wzrasta w atmosferze kłótni i bijatyk. Cień grozy pada na duszę dziecka, pozbawionego radości dzieciństwa przez własną matkę, zadyszana w ustawicznej pogoni za groszem. Siedzi po całych dniach skurczona w kącie jadalni, rozmawiając z ukochaną lalką. Lalkę tę tłucze matka w przystępie złości. Płaczącą dziewczynkę zamykają do szafy w murze, w której mieszka mysz. Dziecko rozchorowuje się ze strachu.

Po ukończeniu sześciu lat — zdziczała, nieufna, przywykła do samotności istotka idzie do szkoły. Jej stosunek do nauczycielek i koleżanek jest zawsze pełen tej namiętnej i dumnej wyłączności, która jest cechą dusz samotnych.

„Lola nie lubi swych nauczycielek. Są to damy wytworne, nienaganne, nieprzystępne. Zda się, jakby żyły w innym świecie. Podczas pauzy przechadzają się tam i zpowrotem powolnymi krokami: bóstwa, niedostępne słabościom tego małego świata, w którym, pragnąc się ostać, trzeba szukać bezwzględnie pola bitwy, należeć do silnych, lub uciskanych, do obłudników, lub szczerych — idących posłusznie z silnym prądem“. Obraz szkoły powszechnej francuskiej, namalowany przez Simone Bodève niewątpliwie z natury, nie należy do pociągających. Nie ma się wrażenia, żeby dzieci czuły się w niej dobrze i wynosiły w życie coś więcej poza ściśle programową dawkę wiedzy elementarnej.

Jedyna świetlana postać, roztopiająca lody urzędowego stosunku do dzieci ciepłym swego uśmiechu — to panna Buchs — przesliczny typ nauczycielki miłośniczki, dobrego ducha młodzieży. Ale i ona nie może wydobyć z ust Loli wyznania nurtującej ją tajemnicy. Nieszczęśliwe dziecko stało się ofiarą własnego ojca.

I odtąd ściga ją widmo raczej urojonej, niż rzeczywistej hańby. Piętno tem dotkliwsze, że padło na duszę wyjątkowo szlachetną i, dodajmy, chorośliwie przeczuloną — duszę, która nie zna kompromisów. Więc kiedy ojciec w sposób bezczelny pastwi się nad matką, wówczas ona, mała Lola, nakła-

nia matkę do rozwodu. Ona jej dodaje odwagi, ona bierze na swoje barki ciężar odpowiedzialności i pracy ponad siły. Poczucie doznanej krzywdy, nienawiść do krzywdziciela, uskrzydla ją. Ale matka jej jest przecież niczem więcej, jak pospolitem zwierzętkiem, pełzającym po ziemi. Jednym niesprawiedliwym zarzutem podcina skrzydła Loli. I Lola bez łyzy porzuca dom, który przestał być jej domem. Idzie w świat sama, wpada w odmet paryskiego świata wyrobniczego, poznaje blaski i cienie robotniczej „cyganerii“, ale w nią nie wsiąka. Brud nie lgnie do tej duszy czystej i dumnej, stęsknionej za wielką miłością. I ta miłość przychodzi. Zrazu, jako przyjaźń młodego studenta, którego słusznie autorka zrobiła słowianinem.

Jego marzycielska dusza, jego ideologia miłości, jego subtelny i głęboki stosunek do małej midinetki mają w sobie romantyczny czar nieprawdopodobieństwa. Przyjaźń przeradza się w miłość; Lola ma zostać żoną ukochanego. Sama nie wierzy w swoje szczęście. Dręczy ją myśl, że nie ma do niego prawa. Czuje, że powinna wszystko wyznać narzeczonemu. Ale jeżeli serce jego odwróci się od niej wobec strasznej prawdy? Nie, lepiej umrzeć! I Lola zadaje sobie śmierć, skacząc z okna w oczach Henryka.

Umiera nie tylko jako ofiara popełnionej na niej zbrodni, ale jako ofiara całego systemu społecznego, który całkowitą odpowiedzialność moralną i życiową za wybryki mężczyzny składa na kobietę, bez względu na udział w fakcie jej woli i świadomości.

W psychologii Loli krzyżują się dwa prądy: etyka człowieka wolnego z etyką niewolnika.

Pierwsza — każe jej wierzyć, że „tylko prawda daje nam radości, których nigdy nie okupuje się za drogą“. Druga — każe jej ukrywać wobec ukochanego piętno urojonej hańby, które w zetknięciu z istotną miłością rozwiałyby się bezpowrotnie.

Zgodnie ze słowami Loli, w których autorka zawarła to, co przywykliśmy nazywać „idea“ powieści — Lola umiera za nic. Jej męczeństwo jest godne szacunku, ale jej bohaterstwo jest bezcelowe i bezpłodne.

„Bo istnieje kłamstwo, obłuda, fałszywy wstyd, nasze prawa, nasze przesady. Są głuche, ślepe, bezmyślne, fałszywe. Nie obalimy ich w jednym dniu“.

Autorka „Piętna“ doskonale zdaje sobie sprawę z trudności zadania. Jej powieść, pozbawiona wszelkiej ukrytej tendencji, jest jednak w istocie swej doskonale uplanowanym szturmem na mury tej nowoczesnej Bastylji, jaką jest niesprawiedliwość ustroju społecznego wobec kobiety. W piersi pisarki-robotnicy płonie nieśmiertelny ogień Wielkiej Rewolucji.





GINA LOMBROSO

2)

## DUSZA KOBIETY

KSIĘGA I.

## ALTEROCENTRYZM I TRAGICZNE POŁOŻENIE KOBIETY

## Przyczyny alterocentryzmu

Alterocentryzm nie dowodzi wyższości jednej płci nad drugą, ponieważ tak egocentryzm, jak alterocentryzm mogą być źródłem szlachetności duszy, przewrotności, zdolności do poświęcenia, zalet i wad. Idzie o pewien *instynkt*, którego korzenie tkwią głęboko w odmiennych czynnościach obu płci.

Zjawisko podobne spotykamy nie tylko u ludzi, ale i w świecie zwierzęcym, a nawet roślinnym: *altruizm* samicy i jej przywiązanie do gatunku.

Kwiaty żeńskie poświęcają swoje płatki, które są im oczami i ustami, otwartymi na świat, dla lepszego rozwoju nasienia. Samiczka motyla wysila się, dla dobra potomstwa, którego znać nie będzie; umiera w wilgotnej ziemi koło korzonków kwiatów, które jej nie wykarmia, ale gdzie złożyć może jajeczka w warunkach, umożliwiających życie przyszłemu pokoleniu.

*Alterocentryzm* żeński jest wymaganiem gatunku. Gdyby samica była go pozbawiona, gatunek wyginałby niezwłocznie, ponieważ wydanie i wyhodowanie potomstwa wymaga istoty, zdecydowanej poświęcić całkowicie lub częściowo żywot swój dla mających się narodzić, a tą istotą może być jedynie to z rodziców, które stwarza — to jest samica.

Ten instynkt kobiecy prowadzi z kolei do innego, głębszego i ogólniejszego, jakkolwiek jeszcze mniej zrozumiałego, a który wspólny jest wszystkim: — mężczyznom i kobietom, młodym i starym. To dążenie, aby się zaistotnić\*)

Na czym ono polega? Do czego dążymy nieświadomie wszyscy, wśród walk i cierpień, ścielących nam drogę od narodzin do zgonu? *Aby po nas, znikomych, pozostał w świecie ślad niezniszczalny; aby jakaś cząsteczka nasza przetrwała w nieskończoności, która nas opływa.*

Przyroda włożyła nam w duszę dwa bodźce, pchające do tego celu: *miłość*, co nieświadomie z własnego ciała każe nam uwiecznić cząstkę jedną w czasie, i *ambicję*, która sprawia, że mózg nasz daje twór — wszystko jedno — materialny, moralny, czy ideowy — przez który rośnie nasza istota, wydłuża się w trwanie i przestrzeni, odciska ślad nasz w wieczności.

Cóż znaczą śmierć, ból, najsrozsza ofiara, jeżeli są nam drogą do jednego z tych dwu celów?!

Nie było matki, która cofnęłaby się ze strachu przed niebezpieczeństwem, gdy szło o danie życia gatunkowi, tak jak mężczyzna gotów jest poddać się ciężkiej ofierze, byle szczęśliwie weszła w czyn myśl, którą powziął.

Ból, owa przednia straż, co z woli natury ostrzega nas o grożącym niebezpieczeństwie, staje się rozkoszą, gdy przezeń otworzy się droga dla miłości, czy dla ambicji, byśmy zaistotnili się w czasie lub przestrzeni. A jak, gdy okręt tonie, matki radośnie rzucają do szalup dzieci, same zostając na pokładzie — tak rzeźbiarze, malarze, poeci, nieczuli na zimno, głód, czy chorobę, wybierają śmierć, byle [doprowadzić do końca i ocalić dzieło.

Te dwa bodźce nie dadzą się bezwzględnie przysądzić, każdy jednej tylko płci. Ale kiedy ambicja pozornie znajduje się bez różnicy u mężczyzn i kobiet, nikt nie zaprzeczy, że miłość jest częstszą pobudką życiową kobiecą, aniżeli męską.

Dla mężczyzny miłość nie może być środkiem dla przedłużenia samego siebie. On nie potrafi tworzyć materialnie. Mózg, serce, ręka — są sprawcami tego, co go przeżyje. Stąd jego egocentryzm, uczynienie siebie, swojego zadowolenia i swoich czynów — ośrodkiem całego życia.

Stąd też ustawiczne dążenie do radości, jaką daje duma — do sławy, potęgi, bogactwa — silniejsze, niż sama miłość życia. Dlatego wszędzie państwa biorą ofiarę z życia swoich poddanych, a przecie nigdzie nie udało im się stłumić osobistych ambicji.

Kobieta, przeciwnie: od narodzenia dziecka ma jasne poczucie, że coś stworzyła, ma żywy i żywotny zastaw własnej wieczności; to też miłość, to ciągle przedmiot jej marzeń, i gotowa poświęcić mu wszystkie radości życia, łącznie z samym życiem.

## Tragiczne położenie, które stąd wynika.

Ale jeżeli uczucie dla otoczenia jest przyrodzoną koniecznością w powołaniu kobiety, jest ono zarazem najstraszniejszą tragedją — rafa, o którą rozbija się kwestja kobieca — szkopułem, który sprawia, że kobieta z takim trudem osiąga szczęście, do którego ma prawo.

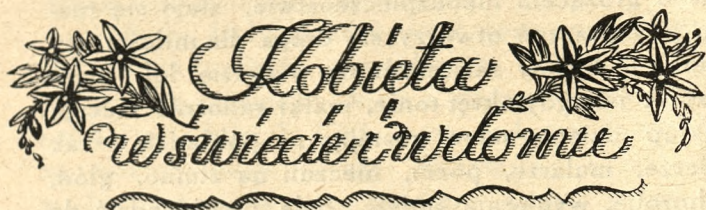
*Najłatwiejsze życie staje się tragicznym dla kobiety, której nie broni egoizm.*

Egoizm jest stosem pacierzowym życia. Szczęśliwe jednostki, obdarzone nim, mają w sobie punkt oparcia, mogą z korzyścią rozstawić i systematyzować swoje postęпки. Egoizm — to latarnia morska, pysnie oświetlająca drogę. Egocentrysta nie potrzebuje niko-

\*) Wyrażenie wzięłam z dzieła wybitnego socjologa, który je właśnie dla podobnego pojęcia stworzył. (Przypisek tłumacza).



go, aby osiągnąć cele, które mniej lub więcej nieświadomie sobie założył; nie potrzebuje pomocy, ani poparcia; wie, dokąd dąży i może iść sam. Alterocentrysta potrzebuje innych, nietylko, aby kochać i być kochanym, ale żeby go wspierali i poddawali kierunek. Jest on, jak roślina pnąca, która umaja twardą kratę, albo zimne mury; gdy jej zbraknie suchych pni, czy nieczulej ściany, nie może puszczać zielonych odrośli i zamiera. (c. d. n.)



TECHNIKA A KOBIETA

W połowie czerwca r. b. angielskie stowarzyszenie kobiet inżynierek w Londynie obchodziło pierwsze pięciolecie swego istnienia.

Przed wojną ilość kobiet, które ukończyły studia inżynierskie, była niezmiernie ograniczona; dziś we wszystkich krajach przybiera ich corocznie bardzo wiele.

Najwięcej kobiet-inżynierek liczą Stany Zjednoczone; w ostatnim dziesięcioleciu politechniki w krajach skandynawskich, a także w Holandji, Niemczech, Szwajcarii i Francji przyjmują coraz większe zastępy studujących dziewcząt.

Z krajów pozaeuropejskich najwyższy ruch w dziedzinie technicznego wykształcenia kobiet wykazuje Japonia; tam jednak kobiety-inżynierki poświęcają się przeważnie aeronautyce. We Francji do szkół technicznych i politechnik kobiety są dopuszczane dopiero od r. 1916 i aczkolwiek stanowią nieznaczny odsetek wśród studentów, dorobek ich pracy na tem polu jest dość obfity, szczególnie w dziedzinie prac laboratoryjnych.

W Danji pierwsza kobieta uzyskała dyplom inżynierki w r. 1904. Od tego czasu 130 dunek trudni się zawodowo fachem inżynierskim w charakterze elektrotechniczek, architektek, chemiczek itd.

W Anglii dziewczęta są przyjmowane narówni z chłopcami na wyższe studia techniczne. W kraju tym jest wiele dyplomowanych inżynierek, które są przeważnie już kierowniczkami mniejszych fabryk i fabryczek, należąc do wszystkich Związków i Stowarzyszeń inżynierskich. H. S.

POŻYCZANE SUKNIE

Dotychczas istniały tylko wypożyczalnie fraków. Nowością na tem polu jest założona w Berlinie przez byłą aktorkę wiedeńską wypożyczalnia eleganckich tualet damskich.

Myśl ta musiała powstać w przedsiębiorczej głowie wiedenki, gdy się znalazła na bruku berlińskim i przekonała się, w jakim stopniu pomysłowi kupcy śpieszą z pomocą ludziom o skromnych dochodach, pragnącym wywołać wrażenie zamożności na rzadko przez siebie wydawanych przyjęciach.

Na takie przyjęcia pożyczają się wszystko w odpowiednich, na ten cel założonych firmach—począwszy od stylowych mebli salonu, egzotycznych roślin, dywanów, a skończywszy na służbie i zastawach stołu.

Artystka wpadła więc na pomysł założenia przedsiębiorstwa wypożyczania wspaniałych tualet wieczorowych i płaszczy, przy czem każda suknią wypożycza się tylko raz.

Po powrocie do pracowni, suknię tę w przeciągu kilku godzin przerabiają wykwalifikowane modystki do niepoznania.

Klientka ma więc pewność, że nie spotka za parę dni kogoś innego w cudownej tualecie, którą wszystkie jej przyjaciółki i nieprzyjaciółki uważały za jej własność.

Dyskrecja musi być zapewniona.

H. S.

KOBIETY W DYPLMACJI NA SZEROKIM ŚWIECIE

W Ameryce już trzecia z kolei kobieta zajmuje odpowiedzialne stanowisko w dyplomacji.

Pierwszą amerykanką, która została wice-konsulem w Amsterdamie, była miss Pattie Field — zdolna i wysoce wykształcona adwokatka.

Następnie przyszła kolej na Lucie Atscherson, która jest obecnie sekretarzem poselstwa w Panamie. Ostatnio do pracy dyplomatycznej została powołana miss Florence Willis.

W Anglii zjawiła się też pierwsza kobieta-dyplomatką. Jest nią miss Olga dela Barra, która otrzymała stanowisko chilijskiego wice-konsula w Szkocji.

Miss Olga jest córką konsula brytyjskiego, Tomasza dela Barra, — od kilku lat miała więc możność współpracy z ojcem, w charakterze jego sekretarki. Ostatnio zastępowała go podczas długotrwałej choroby. Miss Olga posiada niebывałą bystrość orientacji, wrodzony takt i ujmujące obejście.

W służbie dyplomatycznej Węgier jest adwokatka M. Małgorzata Rex, pełniąca obowiązki attaché poselstwa węgierskiego w Sofji, a dziś mianowana sekretarzem poselstwa w Paryżu.

W Turcji, gdzie emancypacja kobiet postępuje, jak na kraj zacofany, niezwykle szybko, rozpoczęła w roku bieżącym swoją karierę pierwsza adwokatka-turczynka.

Jest nią panna Suzey, która złożyła z odznaczeniem egzamin i uzyskała ze Związku Izb Adwokackich prawo wykonywania swego zawodu.

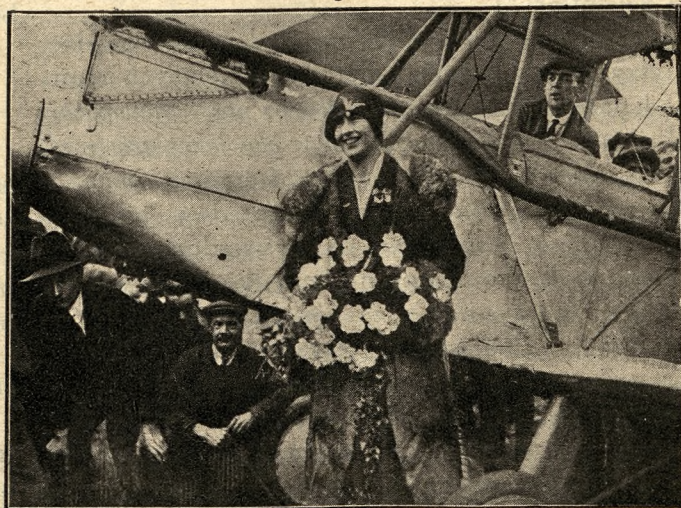
Największą jednak sensacją w Europie wywołała pierwsza dyplomatką w spódnicy, przedstawicielka kraju tak egzotycznego, jakim są Chiny.

Panna Sumey Cheng odbyła studia w Sorbonie i liczy obecnie trzydzieści trzy lata. Dr. Cheng została wydelegowana do Paryża w charakterze posła nadzwyczajnego przez rząd chiński w Nankinie.

Panna Cheng, znana i zasłużona działaczka w swojej ojczyźnie, po objęciu posady zamierza odwiedzić stolicy europejskie, w celu wyjaśnienia niejednej kwestji w sprawach chińskich.

W Londynie ma konferować z sir Austenem Chamberlainem.

H. S.



Znana lotniczka angielska lady Heath w towarzystwie koleżanki zawodowej miss O'Brien, pobiła w Rochester rekord wysokości, na wodnapiłatowcu, wznosząc się na 4,020 metrów.



## JAK SIĘ ZESTARZEĆ?

### I.

Boję się, że Szanowne Czytelniczki będą mocno zgorznione tym tytułem! Dziś przecież stale i konsekwentnie dążymy wszelkimi możliwymi sposobami do tego, aby się właśnie nie zestarzeć. Cóż robić! Wszelkie możliwości mają swoje granice. Najlepsza kosmetyka, najszczęśliwsza linja i najbardziej odmładzająca moda nie zrobią jednak starszej kobiety młodziutką. Chodzi więc o to, jak zastosować się do nieuchronnych praw czasu, aby być zadowoloną z siebie i miłą otoczeniu.

A sprawa ta jest dosyć trudna, właśnie dlatego, że znajdujemy się pod tym względem w pewnym okresie przejściowym i nieustalonym.

Dawniej, lat temu kilkadziesiąt, a nawet kilkanaście, obyczaj i moda były zupełnie inne. Mówiono powszechnie: każdy wiek ma swoje prawa, i stosowano się w życiu do tej zasady. Była ona może nieraz dziwna i przesadna, niemniej jednak istniała, a obejmowała całokształt spraw codziennego żywota, aż do najmniejszych drobiazgów. Wystarczy przypomnieć sobie mody. Przecież wtedy chyba na każde pięć lat różnicy wieku był inny fason sukni, kapelusza, okrycia! Starsze kobiety nosiły wszystko inne i inaczej — inaczej się bawiły, może nawet inaczej mówiły! No, i przytem, co gorzej, stawały się, a raczej zajmowały stanowiska starszych pań o dobre dwadzieścia lat wcześniej. Mężatka, matka kilkorga, dzieci, a już, broń Boże! dorastających — musiała być poważną matroną.

Dziś wszystko to zmieniło się zasadniczo. Przyspieszone tempo życia, ogromny rozwój pracy zawodowej kobiet, stwarzający takie sytuacje, że wielokrotnie matka i dorosła jej córka są koleżankami w jednym biurze, szkole i t. p., podróże, sporty — wszystko to zniwelowało ogromnie różnice wieku, znosząc piedestały, na których stawiano ongi starszych, tak, że nie mają oni właściwie obecnie żadnego specjalnego miejsca.

I dlatego sytuacja jest trudna. Jak się ubrać, jak się zachować, jak wogóle ustosunkować się ma do życia kobieta w późniejszym wieku, aby być naprawdę na „swojem miejscu“?

Przytem zastrzec się muszę, iż chodzi mi jedynie o istotnie poważny do tej sprawy stosunek. Panie, które, przekroczywszy pięćdziesiątkę, nie mogą pojąć, że nie są dziewczynkami, nie będą się napewno nad temi kwestjami zastanawiały. Ale takich mamy, zwłaszcza w Polsce, minimalną ilość.

Osobiście jestem — cóż zrobić, trzeba to powiedzieć! choć może zgorszą się znów niektóre, bardziej konserwatywne czytelniczki — stroniczką zupełnego równouprawnienia... starszych.

Bo czyż kobieta, która, pomimo późniejszego wieku, nie zaprzestaje gimnastyki, sportu, wycieczek i po-

trafi bawić się wesoło z młodzieżą — nie jest zdrowsza, miłsza i piękniejsza od roztyłej, ociężałej, skwaszonej różnemi, wrojonemi często, dolegliwościami, nibyto poważnej „starszej pani“! Naturalnie, że taka ruchliwość i sprężystość w późniejszym wieku możliwa jest tylko przy dobrym zdrowiu, ale wiemy też, że kto ją uprawia, temu właśnie zdrowie dopisuje. Dawne niewiasty polskie, dzielne, czynne i ruchliwe, zastępujące w czasie wojen mężów w zarządzie majątków, a często i w ich obronie — zachowywały siłę i czerstwość do lat najpóźniejszych. Wiek dziewiętnasty, ze swą sztywnością, sztucznością i rozleniwieniem, wytworzył też typ kobiety leniwej i słabowitej, która, jak to w swej przepysnej książce „Świat kobiety“ mówi Grossek-Korycka: — tak się zmęczyła urodzeniem jednego lub dwojga dzieci, że miała siłę już tylko do leczenia się i... bawienia.

Aż gdy przyszła wojna z jej wielkimi przewrotami, ogromna ilość tych rozpieszczonych i niby słabych i naprawdę starszych kobiet zmuszona została nagle do znoszenia nietylko trudów, ale szalonych wysiłków i niebezpieczeństw, a potem do intensywnej pracy i... jakoś to przeżyły! Zeszczuplały, pozbyły się artretyzmów, nabrały ruchliwości i energii, w której współzawodniczą nieraz ze swemi własnymi dziećmi.

Rzecz prosta, że były i takie, które tę zmianę warunków przypłaciły zdrowiem, a nawet życiem, ale to były organizmy naprawdę wątłe, lub chore; urojonym dolegliwościom, osłabieniom z leniwego i zbyt mało ruchliwego trybu życia pochodzącym, wyszła ta zmiana przeważnie na zdrowie.

Dowodzi to niezbicie, że ruch, ćwiczenia cielesne i praca konserwują człowieka i powinny być uprawiane do późnego wieku. Ile razy czytamy lub słyszymy o ludziach, którzy dożyli, albo przekroczyli normalne granice ludzkich lat, stwierdzić możemy zawsze, że ludzie ci prowadzili żywot pracowity i ruchliwy.

Nie powinny więc kobiety starsze zaprzestawać dłuższego chodzenia, gimnastyki i t. p. Podtrzymają tem zdrowie i zachowają sprężystość; wiemy bowiem, ile dla organizmu znaczy przyzwyczajenie i ćwiczenie. Zastąpić ono może nawet siłę. Kobieta młoda, choćby nie była wygimnastykowana, zawsze łatwo wstanie z krzesła, zeskoczy ze stopnia i t. p., podczas, gdy starsza, jeśli „zasiedzi“ się, — dojdzie bardzo szybko do tego, że przy najmniejszej trudności potrzebować będzie czyjejs pomocy, a tę dziś nie wszędzie spotkać można.

Drugim poważnym zagadnieniem dla starszych pań jest ubiór.

Moda „oficjalna“, modelowa, przekreśliła tę sprawę zupełnie. Niema starszych pań: wyszły z... mody! Ale pomimo tej teorii, a może właśnie wskutek niej, w praktyce wytwarzają się liczne komplikacje, otwiera się szerokie pole dla krytyk i złośliwych uwag: „Co? sprawiłaś sobie niebieską suknię?!“ „W tym wieku nosić jasne pończochy!“ „No tak, ładna sukienka, ale przecież dla ciebie za krótka!“ i t. p. i t. p. Otóż w tym



względnie trudno jest wydać ściśle przepisy i najlepiej — jak to tak trafnie w sprawie mód dziecięcych określiła Sz. Koleżanka Szpyrkówna — zostawić każdemu swobodę. Niech postępuje według własnego gustu i obyczaju swego środowiska. Kobieta starsza, która nie może przekonać się do krótkich sukienek i czuje się lepiej w dłuższych, niech nosi takie, starając się tylko unikać przesady, aby nie wyglądała, jak wycięta z przedwojennego żurnalu. Ta zaś, która woli krótkie, może je spokojnie włożyć, naturalnie znów unikając, np. odsłaniania kolan, bo to już do wygody i higieny nie jest potrzebne. Taksamo, uważam, ma się rzecz z kolorami. Barwa jest najzupełniej kwestią umowy. Wiemy wszyscy, że gdy u nas załobnym jest kolor czarny, to w Chinach — żółty; gdy w sferze średniej, dawniej zwłaszcza, odpowiednie były dla starszych kobiet, nawet na zabawy i uroczystości, kolory wyłącznie ciemne, to na dworach właśnie staruszki, damy dworskie, nosiły toalety tylko białe; gdy u nas podczas jakiegokolwiek przyjęcia, związanego z ceremonją ślubną, nikt nie włożyłby sukni czarnej — to we Włoszech, w tym roku, księżniczka de Bourbon, narzeczona ks. Aosty, miała na swój dziewiczy wieczór toaletę czarną z ponsowym, a matka jej — czarną ze złotem!

Kolor ubrania więc trzeba również uzależniać od gustu i wyglądu. Przytem tu zaszły wielkie zmiany w naszej psychice. Dawniej uważano starość za coś smutnego i ponurego, za nieszczęście, do którego pasowały tylko ciemne barwy. Dziś, przeciwnie: dążymy do tego, aby starość ta, zdrowa i czerstwa, była jasna i pogodna, dlaczego więc bronić jej jasnego ubrania? Słynna przewodniczka ruchu narodowego w Indjach i teozofka, dr. Annie Besant, ubiera się zawsze biało, i nie wszystkim młodym jest w bieli tak do twarzy, jak tej ślicznej, 80-o letniej, ze srebrnymi włosami, staruszce.

Jedyną zasadą, o której stanowczo powinny pamiętać i zachowywać ją starsze kobiety, jest unikanie strojów ekscentrycznych i wyzywających. Wszelkie „ostre krzyki mody“ są dla starszych niesmaczne. Zdałoby się, że i dla młodych? Naogół, tak; ale gdy na młodej i ładnej istotce nawet dziwaczna „kreacja“ jakoś ujdzie, — dla starszej jest nie do pomyslenia. I nie zależy to wiele od wymiaru sukni, a prawie wcale — od jej koloru. Tabela jasna może być dystygowana, spokojna i odpowiednia nawet dla staruszki, a przeciwnie: czarną zrobić można wyzywającą i wprost nieprzyzwoitą.

Cała ta jednak struktura rzeczy materialnych, zewnętrznych, łatwiejsza jest dużo do unormowania od struktury psychicznej.

Jak umieć współżyć z młodem pokoleniem, aby służyć mu doświadczeniem i radą, nie wpadając w despotyzm i uprzedzenia? Jak, nie wyrzekając się bliskiego obcowania ze swemi dorosłemi dziećmi, młodymi krewnymi i przyjaciółmi, dostroić się do nich,

sprawić im przyjemność swem towarzystwem, a nie stać się „trzępotałą staruszką“?

Jak wreszcie ustosunkować się do siebie samej, zachować humor, pogodę ducha i zadowolenie wewnętrzne?

Kilka tych, trudnych nieraz zagadnień, postaram się omówić w następnym artykule.

N. J.



## WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE KOBIEC

### IV

*Zdobnictwo i przemysł ludowy.*

Zdobnictwo wchodzi w zakres tak zwanej sztuki stosowanej i tem się różni przedewszystkiem od sztuki czystej, że podchodzi się doń z mniejszym patosem, zato z dużo większym zmysłem praktyczności, aniżeli do tamtej. W pracy twórczej zdobnictwo nie ma olbrzymiego rozmachu, wielkich płócien, laurów i oklasków; celem jego jest doprowadzenie do estetycznej formy rzeczy codziennych, ozdobienie pięknymi barwami szarych dni życia.

Jeżeli chodzi o porównanie z wysoką sztuką, to zdobnictwo stoi najbliżej owej „sztuki wnętrza“, o której pisałam w poprzednim artykule, iż jest działem najodpowiedniejszym dla pracy kobiecej.

To samo mogę powtórzyć o zdobnictwie. Wymaga ono przedewszystkiem dużego poczucia smaku w dobieraniu detali i barw ornamentu, precyzyjnego wykonania i dużej zręczności rąk. A któż najlepiej tworzy śliczne, małe arcydzieła, jakieś wypracowane robótki i hafty, jeżeli nie kobieta? Twórczość artystyczna męska zawsze pragnie dużego rozmachu przy pracy, operuje efektami na odległość, ciężkimi bryłami i dużemi płaszczyznami, dlatego raczej znajduje swój wyraz w sztuce czystej, do której większej ilości kobiet (przynajmy!) brakuje dostatecznie szerokiego oddechu. Nie dowodzi to jednak, by kobiety miały mniej od mężczyzn artystycznych zdolności. Nie! ale one lubią supłać się w drobiazgach, i bardziej pragną, choćby nawet podświadomie, ozdabiać swój dom, aniżeli tworzyć arcydzieła, zapełniające wielkie wystawy zagranicznych miast.

Nie będzie przesadą, jeżeli powiem, że większą radość sprawi przeciętnej kobiecie jakieś cacko, ładnie ozdabiające jej pokój, aniżeli złoty medal wystawy paryskiej. Przytem bardzo silnym jest w kobiecie zmysł praktyczności, który, składając w jej ręce przedmioty codziennego użytku, każe jej ozdabiać je i przybierać.



Wogóle ozdabianie jest punktem wyjścia do tego rodzaju upodobań i zdolności, i bardzo łatwo je odróżnić od wyraźnego dążenia ku sztuce czystej. W pierwszym wypadku daje się zauważyć pociąg do ozdabiania rzeczy istniejących, w drugim—tworzenie samodzielne, niewywołane żadną potrzebą codziennego życia. Jest to napewno czystszy gatunek tworzenia, za zdobnictwem jednak przemawia jego zastosowanie praktyczne.

W ostatnich czasach, kiedy prąd do „ludowości“ stał się tak niesłychanie modny, kiedy z wielkim powodzeniem lansujemy nasze wyroby zagranicę, zdobnictwo stało się dość popłatnem zajęciem. Można przytem zauważyć, że i większa ilość bogatych domów u nas ozdabia swe wnętrza w stylu ludowym. Gdyby ktoś chciał się kształcić w przemyśle ludowym, to istnieje w Warszawie, przy ul. Tamka 1, Szkoła Instruktorów Przemysłu Ludowego, po której ukończeniu bardzo łatwo dostaje się posadę w szkole zawodowej.

Co się tyczy samego zdobnictwa, to mamy w Polsce cztery specjalne szkoły państwowe, a mianowicie: Kraków, Al. Mickiewicza 7, Państwowa Szkoła Sztuk Zdobniczych Przemysłu Artystycznego; Lwów, ul. Snopkowska 47, Wydział Sztuk Zdobniczych Przemysłu Artystycznego przy Państwowej Szkole Przemysłowej; Poznań, ul. Łękowa 11, Państwowa Szkoła Sztuk Zdobniczych Przemysłu Artystycznego; Warszawa ul. Wierzbowa 11, Miejska Szkoła Sztuk Zdobniczych i Malarstwa. Czas trwania nauki—około 5 lat; jako cenzus naukowy, wymagane 3 lub 4 klasy szkoły średniej. W Warszawie jest jeszcze: Instytut Sztuk Plastycznych, Wiejska 10, i Szkoła Zdobnictwa przy Muzeum Przemysłu i Sztuki Stosowanej.

Obok tych zasadniczych szkół istnieją szkoły i kursy, po większej części prywatne, kilimkarstwa i tkactwa, jak np.: Częstochowa — Kursy Przemysłu Ludowego (tkactwo i kilimkarstwo), kurs 10-cio miesięczny. Kraków, ul. Syrokomli 12 — dział kilimkarstwa przy Szkole Zaw. Żeńskiej; Łódź, ul. Narutowicza 77, — przy Państwowej Szkole Przemysłowej dział kilimów i dywanów. Warunki przyjęcia—4 klasy szkoły średniej, lub 7 klas szkoły powszechnej.

Tak zwane kursy specjalnego cenzusu naukowego nie wymagają. Istnieje ich dość dużo, wymienię więc tylko najważniejsze, jak: kurs tkactwa w Nałęczowie; kurs kilimkarstwa w Nowym Targu; prywatna Szkoła Artyst. Kilimkarstwa w Poznaniu (ul. Strzelecka 14); Kursy Przemysłu Artystycznego w Warszawie (ul. Krucza 19); Kursy Zabawkarstwa i Robót Kobięcych p. Komorowskiej—w Warszawie (Nowowiejska 7 m. 1); Kursy Przemysłu Art. w Wilnie (ul. Małkowska 3).

Pozostają jeszcze do omówienia szkoły robót ręcznych, które, aczkolwiek nie należą całkowicie ani do zdobnictwa, ani do przemysłu ludowego, nie mniej

jednak wymagają pewnych artystycznych zdolności i znajomości rysunku. Szkół i kursów tego typu, niższych szkół zawodowych, mamy bardzo dużo: np. Bobowa (woj. Krakowskie) — Szkoła koronkarstwa; Nowy Targ (woj. Krakowskie)—działy: tkactwo, haft, koronki—przy szkole zaw. żeńskiej; Przemyśl (ul. 22 Stycznia 3)—Szkoła Robót Kobięcych—wymagane 5 klas szkoły powszechnej — kurs 3-letni.

Szkoły średnie przemysłowe. Warunki przyjęcia: 7 klas szkoły powszechnej, lub 4 klasy średniej. Czas trwania nauki—3 lata: Lwów (ul. Zielona 8)—dział koronkarstwa przy Państwowej szkole zawodowej żeńskiej.

Warszawa (ul. Szczęśliwa 6) — II Miejska szkoła rękodzielnicza — dział haftu.

Kursy: Chełmno (ul. Parkowa 7)—2-letni kurs robót ręcznych;

Jaworów — Państwowy kurs koronkarstwa;

Kleparów (pod Lwowem)—Kurs hafciarski szkoły Ludowej.

Łódź (ul. Piotrkowska 154) — Kursy robót ręcznych;

Poznań (ul. Ratajczaka 11 a). — Kursy robót ręcznych.

Warszawa (ul. Hoża 59)—Kursy rękodzielniczo-artystyczne.

Warszawa (ul. Bednarska 7)—Kursy hafciarskie.

Tak się mniej więcej przedstawia średnie szkolnictwo artystyczne w Polsce. Z jednej strony graniczy ono ze sztuką czystą, z drugiej zaś — z rzemiosłem, i z tego powodu klasyfikacja jest cokolwiek trudna. Charakterystyczną cechą tego kierunku jest zamiłowanie i uzdolnienie artystyczne, zdążające do praktycznego zastosowania w życiu.

Specjalność ta ma przed sobą dużą przyszłość i prędzej da się wyzyskać w życiu, aniżeli czysta sztuka, stojąca na koturnach niedostępności.

Zofja Miszewska.





## PRAGNIENIE

Upały letnie, wzbudzające zwykle pragnienie, czynią aktualną kwestję, czem i jak zadowolnić nieustającą chęć do picia. Chęć ta, dająca się słusznie określić, jako „odczucie braku wody w organizmie“, według starych przesądów, dziś jeszcze mających wielu zwolenników, zaspokajana powinna być kilkoma kroplami wody o temperaturze pokojowej, którą zwilża się gardło, nie dopuszczając jej do żołądka. Jest to zupełnie mylne twierdzenie: jeżeli, bowiem, chęć do picia powstaje wskutek ubytku wody we krwi, spowodowanego bądź to zbytnią transpiracją w upały, bądź też dużym ruchem, lub pracą w warunkach, wywołujących pocenie się, — to im prędzej dolejemy do krwi potrzebną ilość wody, która z niej wyparowała — tem szybciej radykalnie usuniemy nadzwyczaj przykre uczucie pragnienia. Ale na to trzeba nie oszukiwać, a zaspokoić je, czyniąc to najlepiej zapomocą wypicia potrzebnej ilości wody, której temperatura ważną też odgrywa rolę. Czy napijemy się wody gorącej, letniej czy zimnej, lub lodowatej, przyczyna, która powoduje pragnienie, zostanie usunięta; jeżeli jednak woda nie będzie świeża, uczucie, powstałe z jej braku w organizmie, nieprędko zniknie; natomiast po napiciu się wody zimnej, przykre uczucie pragnienia znika natychmiast.

Odświeżając gardło zimnym napojem, oszukujemy pragnienie, zanim proces, wprowadzający płyn do krwi, ugasi je ostatecznie. Gorący napój działa tak samo, jak zimny: — oba uspokajają pragnienie prędzej, niż letni. W krajach tropikalnych, gdzie przykrość sprawia płyn gorący, jest on jednak zalecany, aby powstrzymać ludzi, męczonych nieustającym pragnieniem, od pochłaniania nadmiaru lodowatych napoi.

Bardzo względna jest higieniczna strona temperatury napoi. Pilnie unikać należy zbytnej różnicy między ciepłotą ciała, a napoju. Często niebezpieczniej jest napić się wody 15-sto stopniowej przy 40 stopniach operacji słonecznej, niż mającej 6 stopni — przy temperaturze 20°. Jeżeli nie uwzględnimy powyższych wskazówek, to nietylko że nie usuniemy pragnienia nagłem, a zbytciem oziębieniem żołądka, ale spowodujemy silny napływ krwi, który, wypróżniając i osuszając żyły, biegnące wzdłuż ciała, wywołać może w następstwach niebezpieczną kongestję. Ciepłotę napoi w lecie ustanowić należy na 8 stopni. Jest to temperatura miła, a nieszkodliwa, chyba, że płyn będzie wypity w nadmiernej ilości przy wielkiem rozgrzaniu. Trzeba pić powoli, małemi łykami: — pijąc w ten sposób, odświeżamy gardło i prędzej pozbywamy się nieznosnego uczucia pragnienia.

Dobrze jest, w celu przedłużenia tego „odświeżania“ gardła, używać rurki, lub poprostu słomki, którą można pić bez obawy napój nawet bardzo zimny, byle powoli. Najwłaściwiej jest gasić pragnienie dobrą, czy-

stą, źródlaną wodą, o którą, niestety, trudniej, niż o inny napój: mało miejscowości posiada prawdziwie zdrową wodę, a pijąc złą, narazić się można na ciężką chorobę. Jako wyjątkowo orzeźwiający napoje można uważać mazagran to jest czarną kawę z lodem, lemonjadę i oranżadę. Mazagran doskonały przygotowuje się w sposób następujący: gotuje się dobrą, mocną, czarną kawę bez cykorji — słodzi się ją do smaku syropem, ugotowanym z cukru, dolewa araku, lub kornjaku odpowiednio do gustu i ilości kawy.

W wysokie szklanki nakłada się pełno tłuczonego sztucznego lodu i nalewa nań bardzo gorącą kawę. Lód zaczyna rozpuszczać się natychmiast i oziębia kawę, tworząc chłodzący napój, który ciągniemy powoli przez słomkę.

Limonjadę i oranżadę przygotowuje się również na syropie z cukru, rozcieńczonym wodą. Wlewa się w niego przecedzony sok z cytryn lub pomarańcz i podaje z lodem i słomką w szklaneczkach, szampankami zwanych.

Orzeźwiającym bardzo jest napój, przygotowany na listkach pomarańczowych w połączeniu z kilkoma łyżeczkami poziomek lub malin, biorąc listki z jednego kwiatka na dwie łyżeczki owocu do jednej szklanki. Zalać tę proporcję w trzech częściach lekkiem krajowem winem, dodając jedną część drobno potłuczonego, sztucznego lodu. Napój, zrobiony w większej ilości, zlać do dzbanka z pokrywą, wstawić w lód, a w miarę potrzeby nalewać w wysokie szklaneczki i podawać ze słomkami. Dużo jest rodzaj mniej lub więcej chłodzących napoi: różne kwasy z chleba lub owoców oddają znakomite usługi w ugaszeniu pragnienia; także kefir, kumys, nawet rozbite zimne kwaśne mleko w szklance — chłodzą znakomicie. Sposoby przyrządzania rozmaitych orzeźwiających napoi znajdują czytelnicy w zeszycie „Życia praktycznego“ p.t. „Zimne napoje“.

J. S.





## UPRAWA ENDYWJI

Pora, w której najtrudniej jest zdobyć świeże jarzyny, jest zima: od listopada do marca; dotyczy to zwłaszcza jarzyn liściowych, zielonych, jak sałata, która stanowi tak zdrowy i pożądany dodatek do codziennego pokarmu człowieka. To też na miesiące zimowe należy sobie przygotować sałatę pod postacią endywji (*Cichorium Endivia*). Pod popularną nazwą endywji u nas idą dwie formy, a mianowicie endywja o liściach drobno fryzowanych, mchowych, oraz eskariol, o liściach podobnych do sałaty zwykłej, całobrzegich. Sposób uprawy obu tych form jest zupełnie jednakowy, obie też bywają z liściem żółtym lub zielonym.

Endywję należy wysiewać w lipcu (do połowy sierpnia), zależnie od ogólnej ciepłoty lata. Zbyt wcześnie siana, wybija przed zimą w nasienie; za późno siana — nie wyrasta należycie przed mrozami.

Ponieważ trudno bywa uchwycić właściwą porę siewu, przeto zaleca się siać endywję dwa razy: wcześniej i później, — na 10-sadniku, lub na wystygłym inspekcje.

Po upływie paru tygodni od wysiewu, gdy rozsadka będzie miała po kilka listków, trzeba ją wysadzić, jako poplon, na zagony po wczesnych warzywach, albo w wyzyskanych zimnych skrzyniach inspektowych. Ten drugi sposób jest o tyle lepszy, że, w razie silnych mrozów, ułatwia nakrycie sałaty oknami i przetrzymanie jej aż do osiągnięcia pożądanego stopnia rozwoju. Na normalnym zagonie, szerokości 120 cm., sadi się endywję w 4 rzędy, co 40 do 50 cm. w rzędzie. Endywje potrzebują ziemi pulchnej, zasobnej w świeżą siłę nawozową i obfitującej w wilgoć.

Do użytku jesiennego zaleca się sadzenie gęstsze, bo wtedy sałata będzie rosła zwarto, dzięki czemu związywanie główek, w celu ich wybielenia, stanie się zbyteczne.

W czasie wzrostu, w porze suchej, należy endywję polewać, bo zapobiega to w znacznej mierze wybijaniu w nasienie; w pierwszym okresie rozwoju trzeba ziemię spulchnić i utrzymywać w czystości. Później sałata grunt tak pokryje, że zielsko nie wydośnie się na powierzchnię.

Na dwa do trzech tygodni przed użyciem należy w godzinach południowych, w dzień pogodny, gdy rosa już obeschła, główki związać luźno łyżkiem, lub zwilżoną słomą (o ile nie są gęsto posadzone, i nie zamykają się same wskutek ciasnoty), aby liście wewnętrzne wybielały i straciły nadmiar goryczy. Coprawda goryczka pozostaje jeszcze i po wybieleniu, ale stanowi ona wówczas zaletę sałaty, bardzo cenioną przez smakoszy. Endywja zadługo przetrzymywana po związaniu, łatwo od wewnątrz zagniwa, zwłaszcza w porze dżdżystej.

Przed nadejściem silniejszych przymrozków trzeba przygotować miejsce do zadołowania sałaty na zimę. Najlepiej przechowuje się ona w niezamieszkałych izbach, w winiarni, brzoskwiarni i t. p. pomieszczeniach suchych, przewiewnych, zabezpieczonych od mrozu i niezupełnie pozbawionych światła. W piwnicach, z powodu nadmiaru wilgoci i niemożności przewietrzania, endywja łatwo pleśnieje.

Mniej więcej na tydzień przed wniesieniem endywji do przechowalni trzeba z ziemi ogrodowej wyżykować zagon, grubości około 10 cm. Jeżeli ziemia jest mokra, to powinna przed dołowaniem trochę przeschnąć, co znacznie przyspiesza częste przegarnianie.

Endywję do przechowania trzeba wyjąć z gruntu, zanim przymrozki zwarzą jej listki zewnętrzne, bo takie rychło gniją i zarażają główki. Rośliny trzeba wyjmować z bryłką ziemi, podciętą łopatą z 4 stron, i po usunięciu wszystkich części nadpsutych, resztek liści i t. p. zanieczyszczeń, układać na noszach i ostrożnie przenosić do przechowalni. Wyjmować główki należy w dzień pogodny, suchy, najlepiej koło południa, kiedy już rosa obeschła.

Przy dołowaniu robi się rowek w usypanej ziemi, główki ustawia się prosto, podtrzymując liście do góry, i tylko korzenie zasypuje się ziemią. Główki powinny stać w rzędzie dość zwarto.

Po paru tygodniach można brać endywję do użytku, wybierając najprzód te główki, które zaczynają wyrastać, co łatwo poznać po białych środkach. Endywja, zadołowana w miejscu półciemnym straci, zieloność, a więc i gorycz, bez wiązania liści.

Głównym warunkiem pomyślnego przechowania endywji jest obfitość świeżego powietrza. To też, o ile tylko mróz nie stoi na przeszkodzie, należy w przechowalniach otwierać drzwi lub okna.

Można przechowywać endywję również w skrzyniach inspektowych, nakrytych deskami i liśćmi, ale trzyma się ona tam gorzej, właśnie z powodu trudności doprowadzenia świeżego powietrza w okresie dłużej trwających mrozów.

Stan. Schönfeld

### KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ  
WSPÓLPRACOWNICZKĘ DZIAŁU  
ROBÓT W „BLUSZCZU”.

INFORMACJE TELEFONICZNE

do g. 10-ej RANO | od 8 do 5 PP. — TEL. 273-34



## DZIESIĘCIOLECIE PAŃSTWOWEGO SEMINARJUM NAUCZYCIELEK GOSPODARSTWA

Całe stulecie gospodarstwo domowe było prowadzone przez kobiety, i przez całe te stulecia uważano zajęcie gospodarstwem za rzecz tak nic nie znaczącą, że nie zwracano na nią wcale specjalnej uwagi, a raczej uważano za rzecz tak łatwą, że uczyć się jej nikt nie potrzebuje: samo przez się wszystko w niem się robi i staje. Zresztą, w klasach posiadających, liczna służba, ucząca się całymi pokoleniami jedno od drugiego, pozostawiała pani domu tylko rolę kierowniczą, często wprost tylko potrzebę wyrażania swoich gustów i wymagań, lub też wymagań pana i władcy. Klasa zaś niższa, szczególnie włościanstwo, stała na tak niskim poziomie kultury, tak mało potrzebowała zewnątrz, byle mogła tłusto, słono i obficie zaspokoić głód, pstro i ciepło okryć ciało, i przemocować na piecu pod pierzyną—że właściwie uczyć się nie było komu. Naukę u góry i u dołu zastępowała lepsza, lub gorsza tradycja. I oto uderzył grom wojny światowej, a za nią rewolucji rosyjskiej, która, choć do nas, dzięki Bogu, nie doszła, bodaj że więcej się przyczyniła do zmiany stosunków, niż wojna, którąśmy przeżyli.

Z jednej strony zmienili się w nędzarzy nieomal wczorajsi magnaci, z drugiej—wymagania klasy pracującej wzrosły ogromnie; i tu i tam zapanował ogólny brak środków, a co zatem idzie, oglądanie się za sposobami, jak możnaby pogodzić zaspokojenie potrzeb z rozporządzalnymi środkami. Bodaj dopiero teraz spostrzeżono, że około 60 procent dochodów narodu przechodzi przez ręce kobiet, i że tylko od nich zależy wydawać je racjonalnie i przez to ułatwić, ulepszyć egzystencję rodzin. Trzeba się było tego nauczyć—nauczyć się nie było gdzie, ani od kogo. Gospodyń wybornych nie brakło nigdy w Polsce, lecz ich umiejętność polegała głównie na eleganckim urządzeniu domu, umiejętności przyjęcia gości, znajomości wybornych przepisów i t. p.; o tem, jak gospodarować porządnie, dobrze, a oszczędnie—nikt prawie nie myślał.

Ułożenie dokładnego budżetu, a tembardziej ścisłe jego wykonanie—uważano za śliczną bajeczkę, której z zajęciem się słuchało na wykładach profesorów—a dawno oni o tem już mawiali, bo w dzieciństwie niemal już o tem słyszałam. Uważano, że niemki i czeski, jako kobiety o mniejszych uzdolnieniach umysłowych i niższych aspiracjach, mogą się domem zajmować, my—mamy na to płatną służbę. Z góry te pojęcia szły w dół: tak myślała wielka pani, i tak samo myślała żona drobnego urzędnika, tak samo myślała kobieta wiejska, która pracowała, bo musiała, lecz dla której ideałem szczęścia było nicnierobienie. Dopiero, kiedy bieda i niedostatek przycisnęły—przejrzały wszystkie, i teraz chyba niema kobiety, która by nie rozumiała

potrzeby nauczenia się prac gospodarczych. Lecz żeby się uczyć, trzeba mieć takich, którzyby uczyli, i tej potrzebie czyni zadość Seminarjum Nauczycielek Gospodarstwa Domowego, które w dniu 26 czerwca r. b. obchodziło dziesięciolecie swego istnienia.

Niedużo wychowanek skończyło dotąd ten pożyteczny zakład, gdyż ogromnie szczupły lokal na Nowowiejskiej nie pozwalał ich kształcić więcej ponad 20 do 30 rocznie; lecz nowobudujący się gmach przy ulicy Rozbrat da możliwość kilkakrotnego powiększenia tej liczby. Zainteresowanie społeczeństwa nauką gospodarstwa wzrasta z roku na rok, i zapotrzebowanie nauczycielek i instruktorek jest tak wielkie, że kobiety, które się temu zawodowi poświęca, mogą być pewne natychmiastowego otrzymania pracy. Ogromną zasługę, położoną w zakładaniu szkół gospodarczych, podnoszeniu poziomu wykształcenia zawodowego kobiet p. Zaborowskiej, naczelniczki wydziału szkolnictwa żeńskiego zawodowego w Ministerstwie Oświaty, uczczono wyrażeniem jej hołdu i wdzięczności na Akademji, która się odbyła w Sali Rady Miejskiej w dniu 26 czerwca r. b.

Na Akademję tę, którą zaszczyliła swą obecnością p. Prezydentowa Mościcka, licznie się zebrały przedstawicielki Ministerstwa Oświaty, Zrzeszeń gospodarczych kobiecych, nauczycielki, absolwentki szkół gospodarczych i seminarzystki.

Pani dr. med. Wanda Szczawińska, wykładająca w Seminarjum higienę, w swem przemówieniu o „Znaczeniu szkół gospodarczych dla życia narodowego w Polsce“, omówiła szczegółowo rozwój pracy w kierunku nauczania kobiet gospodarstwa i prace gospodyń domu, ilustrując je przykładami, rzucającemi nowe światło na te, niedoceniane dotychczas, zajęcia. Już wspominałam o 60 procentach dochodów państwa, które przechodzą przez ręce kobiet, lecz czy wiemy, że dla ugotowania zwykłego posiłku rodziny, osoba gotująca w samej kuchni musi zrobić 2113 kroków (uwaga: czy nie zbyt dokładność?!); że gospodyni, wykonując prace domowe, robi dziennie 18 kilometrów, że we Francji (u nas tego jeszcze nie obliczono) wydatek roczny na artykuły żywności wynosi 30 miliardów franków?! Dalej prelegentka mówiła o rozwoju nauki gospodarstwa w Ameryce, o ostatnim Zjeździe organizacji pracy i jego uchwałach, tyjących się gospodarczego wykształcenia kobiet; nakoniec, o zasługach p. Marji Zaborowskiej—o których mówiłam już wyżej. Po wspólnej fotografii, wręczono p. Zaborowskiej ozdobny adres od nauczycielek i absolwentek Seminarjum. W części drugiej, koncertowej, mieliśmy możliwość usłyszenia wyjątkowo utalentowanych młodych artystów: pianistki, śpiewaczki i deklamatora; wieczorem w lokalu Seminarjum odbyło się zebranie towarzyskie. Dzień następny był poświęcony obradom Zjazdu nauczycielek gospodarstwa, które dzieliły się doświadczeniami, nabytymi w ciągu mozolnej pracy szerzenia idei porządku, ładności i systematyczności w młodym pokoleniu.



W ostatnim dniu Zjazdu odbyły się dwa ciekawe pokazy, mające na celu zaznajomienie byłych wychowanek, pracujących już obecnie jako samodzielne wychowawczynie, z najnowszymi sposobami nakrywania do stołu, podawania, sprzątania naczyń stołowych i kuchennych i z racjonalną metodyką wykładu przy nauce gotowania. Niestety! oba te pokazy były urządzone tak daleko poza miastem — w nowej szkole powszechnej, około rogatki radzyńskiej, na przeciw Bazyliki Serca Jezusowego, — że ściągnęły mało słuchaczek nietylko postronnych, lecz nawet z pośród uczestniczek Zjazdu. Natomiast te nieliczne panie, które się nimi zainteresowały, były zachwycone ich celowością i doskonałym przeprowadzeniem. Żałuję, że wszystkie przeciwniczki prowadzenia gospodarstwa w domu, trujące się w różnych jadłodajniach, nie widziały, jak osoba, starannie ubrana i z doskonale utrzymanymi rękami, może prędko i estetycznie, nie walażąc tych rąk, ani świeżego fartuszka, ani stołu, przed nią stojącego, — ugotować smaczny obiad z trzech potraw. Nakrywanie do stołu teżby warto pokazać gospodyniom, u których „na codzień“ talerze i sztuczce zdają się tańczyć na stole dziką sarabandę, a obrus czysty jest uważany za karygodny zbytek. Rozdaniem dyplomów nowym nauczycielkom gospodarstwa zakończono ten jubileuszowy Zjazd.

Pani Elżbieta.



#### POTRAWKA Z BARANIEGO MOSTKU

Mostek barani porąbać na zgrabne, równe kawałki, lekko posolić, utarzać w mące, zrumienić na maśle lub fryturze. Przełożyć mięso do nelsonki, włożyć na kilo mostku trzy pokrajane w plasterki cebule, pół kilo młodych marchewek, polać tłuszczem, na którym się mięso smażyło, i paru szklankami rosółu lub wody. Dodać parę ziarn pieprzu i ziela, pół listka; przykryć naczynie talerzem lub pokrywą i dusić, aż marchewki zmiękną, a mięso zupełnie od kości odstanie. Wsypać łyżkę mąki, wlać szklankę czerwonego wina — (może być owocowe), na koniec noża papryki; zagotować razem tylko raz i podawać z oddzielnie ugotowanym na sypko ryżem.

#### BUDYŃ Z SZYNKI

Doskonale zużytkowanie kawałków, pozostałych przy kości po okrajaniu całej szynki, lub kawałki ugotowanej w zupie szynki, czy łopatki wędzonej. Pół kilo szynki (chudej) przepuścić przez maszynkę. Sporą cebulę utrzeć na tarce, przesmażyć w łyżce ma-

śła, dodać garść siekanej pietruszki i koperku, dać tej masie wystygnąć. Kawałek nieduży masła (6—10 deka) utrzeć na śmietanę, dodając po jednym trzy żółtka; dodać szynkę, usmażoną zieleninę, filizankę tartej bułeczki, wymieszać doskonale razem. Wlać tyle mleka lub mięsnego rosółu, aby masa nie była zbyt gęsta. Przyprawić pieprzem, solą, kto lubi — gałką muszkatołową. Pozostałe białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z masą; — wszystko przełożyć do budyniowej formy, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Gotować, jak zwykle budynie, od półtorej do dwóch godzin. Wyrzucić na półmisek i podać z sosem śmietanowym lub pomidorowym; lub też obłożyć wkóło szpinakiem, zielonym groszkiem, makaronem, młodem kartofelkami, a nawet grzybami, duszonymi w śmietanie.

#### PRĘDKI PASZTET Z MŁODĄ KAPUSTĄ

Kilo kapusty wczesnego gatunku pokrajać niezbyt drobno, wrzucić na osolony wrzątek, zagotować raz tylko, odcedzić na durszlak lub sito, przelać zimną wodą. Rozpuścić dwadzieścia deka masła w rondelku, włożyć na to kapustę, przykryć pokrywą, dusić wolno nie dłużej, niż dziesięć minut, gdyż młoda kapusta, o nieco jeszcze zielonych listkach, bardzo prędko dochodzi. Odstawić, przełożyć do miski, aby ostygła. Nieco popieprzyć, wymieszać z trzema grubo posiekaniem twardymi jajami. Dziesięć deka szmalcu i półtorej szklanki gęstej kwaśnej śmietany, łyżeczkę soli i tyle mąki, aby się ciasto dało zagnieść niezbyt twarde, wyrobić dobrze, rozwałkować cienko w równy kwadrat. W środek położyć nadzienie z kapusty, cztery rogi ciasta złożyć do góry, jak kopertę, złączyć mocno rogi, aby się koperta nie rozpadła; brzegów jednak nie należy zaciskać, żeby para przez szczeliny pozostałe się ulatniała. Posmarować żółtkiem, posypać ostrym serem, zmieszonym z tartą bułeczką, i upiec w dobrze gorącym piecu. Po wyjęciu z pieca, przed podaniem, przykryć na kwadrans złożoną w kilkoro serwetą. Podawać po zupie, zamiast pasztetu.

#### KISIELEK KAWOWY Z KREMEM

Ugotować półtorej szklanki mocnej, aromatycznej kawy bez cykorji, zmieszać z taką ilością śmietanki parzonej, lub niezbianego gotowanego mleka, osłodzić szklanką cukru (20 deka). Pół szklanki mąki kartoflanej rozbić pół szklanką zimnego mleka, zagotować z kawą, wlać do formy z dużym otworem w środku, wylanej wodą i wysypanej cukrem. Postawić na lodzie, lub wynieść do piwnicy na godzin parę. Szklankę śmietany lub śmietanki ubić na krem, zmieszać z dwiema łyżkami cukru, utłuczonego z wanilią. Kisielek wyłożyć na półmisek, w środek nałożyć kremu, formując z niego ładną piramidę.

#### OWOCOWY COCKTAIL

Cocktail'em w kuchni angielskiej i amerykańskiej nazywa się nie koniecznie napój, zmieszany z różnych spirytualij — jak to u nas sądzi wiele osób — lecz przeważnie dania zimne, podawane w kieliszkach lub szklaneczkach, w których się je mocno jeszcze zamraża w lodzie z solą. Niektóre z nich są bardzo ostre, składają się z jarzyn, pikli, ryb, sałatek, kra-



bów, homarów, ostryg, przyprawionych zabójczymi, jak sami anglosasi nazywają—djabelskimi („devilled“) sosami, które możeby nam niezupełnie trafiły do gustu. Natomiast Cocktaile owocowe, przez dziwny wybryk gustu podawane u nich na początku obiadu lub śniadania, jakby na przekasę,—są wyborne i u nas mogą służyć za smaczną leguminę. Podam więc tu kilka takich cocktail'ów.

1). Czterdzieści deka truskawek, oczyszczonych z ogonków, przekrajanych, zależnie od rozmiaru, na połówki czy ćwiartki, dwadzieścia deka białych czerśni (mogą być z konserwy), dwie pomarańcze, obrane ze skórki, pokrajane w nieduże kawałki. Nałożyć tem osiem szklaneczek, wlać do każdej likierowy kieliszek maraskina, wsypać łyżkę cukru, wymieszać dobrze. Szklanki wstawić przed podaniem na parę godzin do lodu.

2). Dwa obrane i pokrajane w kostkę krusze jabłka (naprzykład oliwki lub papierówki), dwadzieścia deka wydrylowanych czarnych wisien i tyleż pokrajanego w kostkę, aromatycznego melona, przesy-pać cukrem, wymieszać, nałożyć w szklaneczki, nalać w każdą szklaneczkę mały kieliszek od likieru abri-cotine'y, zamrozić w lodzie i podawać. *Pani Elżbieta.*

przesypując je sproszkowanym węglem drzewnym. Sposób ten daje dobre wyniki, o ile powietrze nie ma do jaj dostępu, a miejsce w którym stoją, jest suche i chłodne.

Pani K. Ż.—Mikulino. Modele wspomnianych serwetek będą umieszczone w jesiennych numerach „Kobiety w Świecie i w Domu“ i wtedy chętnie będziemy służyć niemi Sz. Pani, notując sobie Jej życzenie w pamięci. Co do pasa—to najwygodniejszy jest zrobiony na drutach, albo ze wstążek; najlepszy jednak będzie zrobiony przez specjalistkę. Adres jej brzmi: p. Wdowiak—Warszawa, Kopernika 7. Jest ona sumienna i niedroga. Atlas kołder prac trzeba benzyna.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3.50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2.50
bluzka . . . . .	„ 2.00
formy dziecinne . . . . .	„ 2.00
bielizna . . . . .	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 1,50, poduszka — serwetka — zł. 1., drobne desenie — gr. 50.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu“, nie wysyłamy

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

## KOROSPONDENCJE

Pani H. S.—Bełchatów. Adres szkoły państwowej:—Nowowiejska 43; szkoły z prawami państwowymi: pani Komorowska — Nowowiejska 7, m. 2.

Pani R. K.—Częstochowa. Adres szkoły państwowej:—Nowowiejska Nr. 43, albo, jak wyżej wspomniałam.: P. Komorowska—Nowowiejska 7, m. 2.

Pani W. W.—Zalesie. Rozmaite są sposoby przechowania jaj. Jeden z najlepszych jest: maczać je w roztworze gumy arabskiej (4 deka gumy na litr przegotowanej wody). Po wyjęciu i dokładnem obsuszeniu pakować, ustawione cienkim końcem do dołu.

### „ZIMNE NAPOJE“

SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA KRUSZONÓW, LIMONJAD I RÓŻNYCH ZIMNYCH NAPOI

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

### LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perełki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, lilijowe i ziołowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na pięgi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Adm. ni stracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99. tel. 239-40.

Druk. Zakt. Czel. Tow. Wzd. „BLUSZCZ“ Remaska 8. tel. 244-18.